

Rozdział I. Uwolnienie jawnoгрzesznicy

Rzecz dzieje się w wymyślonej krainie Wigomerów. Nazwa nie jest specjalnie istotna, ponieważ takie krainy, posiada większość z nas w dalszych lub bliższych zakamarkach własnej wyobraźni. Na przestrzeni lat, zmieniają one swój kształt i wielkość. Budulcem są oczekiwania i doświadczenie. Marzenia i nieograniczona fantazja, tworzą zaś akcję. Państwo Wigomerów leży na geograficznym Bliskim Wschodzie. Właśnie przeżywa kryzys swego samostanowienia, ponieważ podbite zostało przez imperium Rzymskie cesarza Tyberiusza. Nie posiada swojego wojska ani rządu, zachowuje jednak pewną swobodę działania. Szczególnie w kwestii wiary. Stolicą państwa jest Dzerulasem, położone na wyżynie, zakończonej od wschodu doliną rzeki Ran. Za doliną znajduje się łańcuch górski, który stopniowo, mijając dolinę, zanika na korzyść kamienno-pustynnych równin w kierunku zachodnim. Przy dobrej pogodzie, widać go gołym okiem z najwyższych wież w mieście. Na równinach, tam gdzie to możliwe, wybudowano tarasy na których uprawiano jęczmień, pszenicę oraz zakładano winorośle. Wypasano rogate bydło. W enklawach zieleni kwitł handel. Interesów okupanta pilnował namiestnik prowincji z nadania imperium, Ponepilad. Porządek utrzymywał dzięki setnikowi Negatowi, który zarządzał tysiącem cesarskiego wojska. Myliłby się jednak ten, kto uważa, że mamy już określone miejsce i czas. Ten drugi, ze względu na pewne wydarzenia, okaże się katapultą i w efekcie zmieni diametralnie miejsce akcji.

Plac Ain Karem położony był na obrzeżach Dzerulasem. Od strony Ramla był pierwszym cywilnym placem wewnątrz miasta. Osadzony na planie prostokąta wzdłuż osi wschód – zachód, posiadał dwie bramy na bokach krótszych. Od wschodu, znajdowała się brama, która wielkością ponad dwukrotnie przewyższała swoją vis a vis imienniczkę. Była surowa w wykonaniu, ukośny przelot zakończony trójprzęsłowym łukiem, był jedynym odstępstwem od niewyszukanej architektury budowli. W dawnych czasach pełniła rolę bramy wjazdowej. Po wybudowaniu nowych murów obronnych, zdemontowano z niej mechanizm krat i kołowrotu. Straże Tyberiusza przeniesiono częściowo na mury, a częściowo na najbliższe bramy:

Damasceńską i At-Hadasz. Znaczenie bramy wschodniej spadło do roli zwykłej, choć niezwykle wysokiej, miejskiej bramy.

Od zachodu, znajdowała się brama niższa, ale za to pełniejsza architektonicznie, posiadała wiele drobnych zdobień i detali pochodzących jeszcze z czasów Heroda Wielkiego, czyli ojca obecnego tetrarchy, Heroda Antypasa. W attyce umieszczono płaskorzeźby przedstawiające podbite przez Wigomerów plemiona. Historię i przebieg stoczonych bitew. Najślynniejszych wodzów oraz zdobyte łupy. Zdobienia te uzupełniane były również przez obecnych artystów, ściągniętych z serca cesarskiego imperium, by udokumentować jego pobyt w tym miejscu i status własności.

Północna część placu posiadała wzdłuż ścian szeroki trakt, ułożony z płyt kamiennych. Swobodnie mogły się na nim minąć dwie osoby idące z naprzeciwka i w dodatku ciągnące wózki. Nad traktem, na całej długości, wybudowany był dach pokryty czerwoną dachówką. Doraźnie miejscami łątany, po dziurach jakie zrobiły w nim inne dachówki, spadające z dachów domów położonych wyżej. Wejścia z traktu do atrium, były nieco uwypuklone i dodatkowo wsparte kolumnami przypominającymi wyglądem kolumny w stylu Koryckim. Takie wejścia były dwa po tej stronie placu.

Południowa część placu o tej porze dnia, skryta była w cieniu długiej i wysokiej ściany, spichlerza zbożowego. Z tej strony również znajdował się trakt pieszy osłonięty dachem, ale był znacznie węższy od północnego. Nie był też tak okazały. Jego podłogę stanowiły różne formy wypalonych płyt gliniastych, w odcieniach żółci i brązu. Kolor, był wypadkową temperatury wypalania, czasu i umiejętności glazurnika. Dach podtrzymywany był drewnianą kolumnadą i pokryty liśćmi palmy daktylowej. Równocześnie bloki granitowe wspierały całą konstrukcję na jej najniższym poziomie. Bloki te posiadały podwójną funkcjonalność, stanowiły bowiem doskonale miejsce, do tego aby na nich usiąść i odpocząć. Pośrodku placu znajdowała się studnia. Wysoka do pasa dorosłego człowieka. Obłożona była takim samym granitowym kamieniem jak murek po południowej stronie placu. Wody nie wyciągało się z niej żurawiem, lecz za pomocą sznura, wiadrami. Sznur ciągnięty był siłą ludzkich ramion po krawędzi studni. Dziesiątki lat przesuwania sznura wypolerowało granit na błysk. Wyglądał tak jakby był specjalnie woskowany.

Po wyciągnięciu wiadra, sznur oplatało się wokół wyschniętego na wiór pnia drzewa, wysokości nie większej niż sama studnia. Trudno było ocenić, czy ten pień został tu wkopany, czy rosło tu kiedyś drzewo, które przy studni umarło z pragnienia. To samo wiadro służyło również do napełniania kamiennego poidła dla zwierząt stojącego opodal studni. Wnętrze placu, pomiędzy traktami pieszymi i bramami wypełnione było piaskiem koloru ochry, naniesionym tu tysiącami stóp i zwierzęcych kopyt ze wszystkich stron państwa Wigomerów.

W Dzerulasem było w wiele domów, w których mieszkało wielu ludzi, wiele ulic oraz wiele placów. Wszystkie były świadkami wydarzeń czasem ważnych, a czasem na pozór błahych i nic nie znaczących. Na placu Ain Karem, wydarzenia zmieniły losy i przeznaczenie ludzi.

-&*-&-

Joshua, Suda z Iszkeru, Kefa i Jon ugasiwszy pragnienie przy studni, siedzieli teraz na granitowym murku po południowej stronie placu, odpoczywając po długiej wędrówce znad jeziora Gezetnare. W milczeniu obserwowali postacie pojawiające się na placu. To z jednej to z drugiej strony. Jak w teatrze niespodzianek, w którym nie wiadomo było, kto za chwilę pojawi się na scenie i jaką odegra rolę. Regułą było, że przybysze wędrujący od wschodu, zatrzymywali się na krótki postój przy studni, aby ugasić pragnienie przyniesione z pustyni. Poili przy tym juczne zwierzęta towarzyszące im w drodze. Twarze ich jaśniały z każdym łykiem wody. Im mniej było pragnienia tym większa była nadzieja. Na zrobienie dobrego interesu w mieście lub owocnego spotkania z rodziną. Pozdrawiali wszystkich nieznajomych, których mieli w zasięgu wzroku, dziękując w ten sposób opatrności, za szczęśliwe dotarcie do celu.

Słońce od dłuższego czasu schodziło z zenitu. Ruch na placu zmniejszył się. Joshua, po wyczerpującym dniu, starał się nie zaprzętać głowy poważnymi myślami. Przyglądał się grze cieni zachodzącego słońca na domach po przeciwległej ścianie placu. Niektóre z nich odkładały się finezją kształtu wewnątrz mieszkań. W jednym z okien ponad traktem, starszy pan podlewał kwiaty. Robił to bardzo uważnie, lejąc małe porcje wody do każdej donicy z osobna. Przeszedłszy cały rząd, wracał do pierwszej w kolejności i powtarzał proces od początku. Inny palił fajkę, starając się nie dopuścić, by dym wpadał do środka mieszkania. Co chwila zaś spoglądał z niepokojem do środka, czy aby z nikt z domowników nie nadchodzi, by zaprotestować tej formie zadośćuczynienia tytoniowemu pragnieniu. Kefa pogrążony był w

studiowaniu Księgi proroka Emera. Jon wyraźnie się nudził i chętnie już by stąd poszedł. Tyle, że decyzja nie należała do niego. Suda zaś, siedzący po lewej stronie Joshuy, rozważał, jak bardzo opłaca mu się interes z setnikiem Negatem, który ten zaproponował mu kilka dni temu. Nagle coś się zmieniło. Kefa nie odrywając wzroku od pisma, wyczuł to swoim szóstym zmysłem. Zmiana nie była związana z jakimś poruszeniem. Była raczej jak znikąd pojawiający się zapach, którego ani pochodzenia ani przyczyny nie widać na pierwszy rzut oka. Kefa podniósł wzrok znad pism. Spojrzał na towarzyszy. Wszyscy oni z zaciekawieniem patrzyli w jeden punkt. Na scenie placu, przy studni, pojawiły się dwie kobiety. Ich wiek ocenić można by na dwadzieścia oraz trzydzieści lat. O ile starsza miała chustę na głowie, to młodsza właśnie ja zdjęła. Odrzuciła ruchem głowy, pęk długich kruczoczarnych włosów. Rozpięła bluzkę pod szyją i korzystając z uprzejmości przypadkowego Samarytanina, który naciągnął dla nich wody, sięgnęła kubkiem do stągwi. Piła powoli, odchylając głowę do tyłu i tym samym uwydatniając wspaniałej konstrukcji piersi. Delektowała się każdym łykiem, starając się nie uronić ani kropli. Tak jakby to było źródło, w którym woda gwarantuje nieśmiertelność. Ugasiwszy pragnienie obmyła ręce, twarz, szyję. Skropiła kark, by zaznać zbawczego chłodu. Piękność przy studni była bardzo zgrabna. Była kwintesencją kształtu kobiet z ludu Wigomerów, która wyewoluowała do genetycznego ideału, w procesie wymierania i narodzin kolejnych pokoleń. Nasyciwszy pragnienie, duże żywe, bystre oczy zaczęły rozglądać się wokół. Kefa ze zgrozą spojrział na Joshue.

- Mistrzu, nie patrz tak – powiedział z przyganą, która oznaczać miała, że takiemu nauczycielowi jak On, nie przystoi podziwiać żywego piękna w ludzkiej skórze. Nie widząc zaś reakcji ze strony Nauczyciela, podjął dalej ściszym głosem, by nie daj bóg, ktoś usłyszał.

- To jest Mirae z Miralli – powiedział, a brzmieć to miało jako objaśnienie nieprzyzwoitości. Mistrz Joshua, w dalszym ciągu nie reagował. Za to wzrok Kefy padł na twarz Sudy z Iszkeru, który pochylił się nieco z lewej strony, za plecy Mistrza, i posłał mu szelmowski uśmiezek, co znaczyć miało, że nawet Mistrz, nie jest w stanie przejść obojętnie wobec urody Mirae. Kefa wytrzymał tę zniewagę. Musiał to zrobić, aby nie oddać pola Sudy. Obaj rywalizowali o względy Mistrza w pierwszeństwie do tytułu najlepszego ucznia. Czasem górą był Suda. I jeśli nadarzał się taki moment jak ten, nie omieszkał zaznaczyć tego wobec swojego rywala. Mirae tymczasem usiadła na kamiennym podwyższeniu poidła dla zwierząt, wyjęła z torby grzebień, przechyliła

głowę na bok i zaczęła rozczesywać włosy. Kefa, już nie do Mistrza, ale w pustą przestrzeń powiedział, niby to do siebie a niby nie, ale tak, żeby On słyszał:

- To cudzołożnica – ostatkiem nadziei oczekiwał jakiejś reakcji, przeniesienia wzroku, komentarza, ale nic takiego nie nastąpiło. Było jeszcze gorzej. Joshua patrzył na Mirae, tak samo jak obwiesie spod karczmy, na widok pięknej, ale kobiety lekkich obyczajów! Kefa, żadną siłą nie chciał nawet pomyśleć, że jest to pożądanie. Nieprzyjemne było to, że pierwszy raz widział Nauczyciela w takim stanie.

- Gdzie jest Miralja? – zapytał nagle Jon.

- Miralla – poprawił go Suda i już miał otworzyć usta, by mu to wytłumaczyć, ale nagle rozmyślił się. Bał się, że za tą jedną odpowiedzią, padnie więcej pytań. A wszystkiego nie chciało mu się tłumaczyć. Wolał korzystać z chwili i chłonąć wzrokiem jawnogrzesznicę. Podobno ojciec wyparł się jej, podobno rodzina zapomniała, podobno ona i jeden z wysokich kapłanów Ushafearaf ..., podobno bili się o nią, podobno majątki zastawili, podobno wielu potraciło dla niej zmysły, podobno potrafiła rzucić urok Podobno było mnóstwo. Nikt jednak nie był w stanie zaprzeczyć nieprzeciętnej urodzie Mirae. Skoro Bóg stworzył takie piękno - rozważał Suda – to nie przez przypadek. I tu uruchomił fantazje, których nigdy mu nie brakowało.

Niepodziewanie Joshua, rękę w łokciu opartą o własne kolano, przesunął w stronę Sudy. Nie patrząc nań, otworzył dłoń. Był jak lekarz przed operacją, który oczekuje od swojego asystenta właściwego narzędzia, którym dokona pierwszego cięcia. Bystry Suda w mig zrozumiał o co chodzi. Włożył w otwartą dłoń Mistrza, koniec około metrowej długości kija, z którym od jakiegoś czasu, się nie rozstawał. Używał go, do przegania natrętnych gapiów i tych, którzy nie respektowali granicy jednego kroku, chcąc dotknąć szat Mistrza. Siekł wtedy po rękach niemiłosiernie. A jak Mistrz nie patrzył, to jeszcze mocniej. Musiał Go chronić przed zdeptaniem przez tłum. Dzicz nie respektowała żadnych zasad. Taki sposób uważał za najskuteczniejszy. Joshua zacisnął dłoń na kiju, przesunął go przed front własnej swej osoby i nie zmieniając pozycji, siedząc, kreślił na ochrowym piasku jakieś znaki. Spoglądał przy tym od czasu do czasu na Mirae, jakby chciał ją naszkicować.

Po zakończonej toalecie przy studni, kobiety zaczęły pakować swoje torby i szykować się do dalszej drogi. Wtedy po raz pierwszy wzrok Joshuy i Mirae związał się w błysk. Krótki, ale z tych, który może wzbudzić zainteresowanie. Speszona Mirae, odwróciła głowę, przełożyła pasek torby przez lewe ramię i przynaglana przez

towarzyszkę ruszyła za nią w kierunku zachodniej bramy. Joshua, zamazał wszystko co stworzył na piasku. Zupełnie jakby ta historia została już zapisana i opowiedziana. A kto nie zdążył jej przeczytać, ten powinien żałować.

- Jon? – poderwał z letargu najmłodszego swego ucznia. – Widzisz ten kamień? – tu wskazał mu otoczek, wielkości pięści w zasięgu jego wzroku. Jon nic nie odpowiedział, wstał jednak, okazując swoją gotowość do działania. Dla Mistrza, gotów był zrobić wszystko, nie zastanawiając się nad sensem tego co zostanie mu zlecone. Po prostu ślepo mu ufał. – Chciałbym – powiedział Joshua - abyś wyzbierał wszystkie kamienie tej wielkości, od studni do zachodniej bramy – zakreślił, w powietrzu, nad placem, końcem kija, obszar który go interesował.

- Dobrze Mistrzu – odpowiedział Jon i zaraz dodał – mam je tu przynieść? - Zabrzmiało to z lekką nutką nadziei w głosie. Jon uwielbiał przypowieści Mistrza, w których coś się działo. Słyszał, że podobno w mieście Kanga, przemienił na oczach weselników wodę w wino! Potem, co już sam Jon widział, uciszył burzę na jeziorze. Rozmnożył pokarm, na pustyni dla pięciu tysięcy ludzi. Wydarzenie to nazwane zostało potem cudem pięciu chlebów i dwóch ryb. Nikt inny takich rzeczy nie potrafił. Wprawiał w zachwyt rzesze nieszczęśników.

- Nie – rozwiął jego nadzieję na cud Joshua – zostawisz je tam – i tu wskazał miejsce na placu, gdzie Jon miał złożyć kamienie. Jon ruszył, choć z mniejszym zapalem, wykonać zadanie. Przez pewien czas patrzyli jak uwija się, szukając kamieni. Zawinął bok szaty, chwytając w kiść zbełtany jej koniec. Do tak przygotowanego gniazda wkładał znaleźiska. Nie było ich dużo. W końcu, aby nie krzyżeć, stanął i popatrzył z daleka w kierunku Mistrza. Wzruszeniem ramion dawał mu znak, że więcej nie może znaleźć. I uważa polecenie za wykonane. Joshua, skinął głową na znak zgody. Teraz rozpoczął się proces zdalnego ustalania miejsca, gdzie ma złożyć kamienie. Niby wiedział, że „gdzieś tu”, jak wskazał mu wcześniej Mistrz, ale drobiąc kroki niepewnie spoglądał na Joshue. Kiedy znalazł się we właściwym miejscu, a było to w dwóch trzecich odległości pomiędzy bramą a studnią, Joshua kiwnął głową na znak zgody. Jon puścił róg szaty i kamienie spadły w piach, wzbijając nikłe dymki kurzu. Podgarnął je prawą nogą, jakby zaganiał do zagrody. Było ich nie więcej niż piętnaście sztuk. Joshua z przyjaciółmi podniósł się z miejsca odpoczynku. Podeszli do studni. Nabrali w bukłaki z wyprawionej koziej skóry zapas wody. Po czym ruszyli już we czwórkę, przez zachodnią bramę do wnętrza miasta.

Już poza via Dora, kiedy skręcili w boczną ulicę, Suda zauważył nagle, że czegoś mu brakuje. „No tak” – pomyślał – „nie mam swojego kija”. Spojrzał na Joshue, bo to przecież jemu go dał. Mistrz nie zwalniając kroku, uśmiechnął się rozbajając, jakby czytał w jego myślach.

- Zapomniałem – westchnął.

Suda zmiarkował, że jego kij-obronca, musiał zostać prawdopodobnie przy studni, jak nabierali wodę na wieczór. Taki elegancki, i do lania i do pisania i Bóg wie czego jeszcze.

-&*&-

Wieczorem Mirae poczuła się wyjątkowo źle. „Pewnie się przegrzałam” – pomyślała zmartwiona – „ale przecież to nie pierwszy raz, kiedy szłam przez pustynię” – starała się pocieszać. Tego samego zdania była Zofia, jej towarzyszka. Zbyt późno wyszły z Miralli. Potem nie mogły pozwolić sobie na odpoczynek w trakcie drogi. Istniało niebezpieczeństwo, że nie zdążą do Dzerulasem przed zamknięciem bram. Nocleg poza murami miasta, narażał na kłopoty wielu ludzi. Na to, nie pozwalali sobie nawet najbogatsi kupcy. Zbrojne bandy Saracenów, regularnie ściągaly w porze zamykania bram, w ich okolice. Czyhajac na spóźnialskich, jak hieny nad sadzawką wody na samotne zwierzęta. Największe profity ze spóźnialskich miały rzymskie straże. Oczywiście z tych spóźnialskich, którzy mieli się czym wkupić w ich łaski. Pozostali podróżnicy, padali łupem mrocznych jeźdźców pustyni.

U Mirae bardzo szybko pojawiły się dreszcze, a wraz z nimi gorączka. Zofia z przerażeniem stwierdziła, że tak rozpalonej w chorobie przyjaciółki jeszcze nie widziała. Przywołała Salmah, kobietę u której wynajmowały nocleg, a jednocześnie siostrę ojca Mirae. Ta, niewiele się namyślając posłała po lekarza, który mieszkał kilka ulic dalej. Pora nie była jeszcze zbyt późna. Poprosili o pomoc. Kiedy przybył lekarz, stan Mirae był już na tyle poważny, iż słyszała urywane zdania wypowiedane przez mężczyznę, ale nie potrafiła przypisać im żadnego znaczenia. Lekarz badał, osłuchiwał, kiwał głową ze zmartwieniem. Było źle. Podejrzał udar. Zofia zgodnie z zaleceniem, miała czuwać przy łóżku chorej, wykonywać regularnie zimne okłady z ręczników oraz pilnować, by nie doszło do odwodnienia organizmu z powodu wciąż narastającej gorączki. Mirae dygotała na całym ciele, mającyna tracąc kontakt z rzeczywistością. Pytała „Jak daleko jeszcze do miasta”, „Czy na pewno zdążą przed

zamknięciem bram”. Zofia i Salmah robiły co w ich mocy alby ulżyć chorej. Wreszcie, w drugiej kwarcie nocy, dziewczyna uspokoiła się. Wciąż była rozpalona jak piec, ale oddychała miarowo. Zofii wydawało się, że wreszcie zapadła w gorący ale normalny sen. Najlepsze lekarstwo.

- Wstań i chodź ze mną – powiedział Anioł. Sprawiał wrażenie osoby, która nadzwyczajnym poleceniem została oderwana od swoich normalnych zajęć i wcale nie była szczęśliwa, że zlecono jej taką misję – Szybciej – ponaglał stojąc w progu pokoju. Mirae, zbudzona za snu, przetarła ręką zaspane oczy. Na stole nikłym płomieniem dopalała się świeca. Za oknem w najlepsze królowała noc. Zdziwiło ją, że obcy, karze jej o tej porze wstawać. Mimo to odsunęła pled, którym była przykryta. Obwiązała rzemienie sandałów wokół stóp, okryła głowę chustą. Spojrzała na opartą plecami o ścianę, śpiącą Zofię. Przez moment przeszło jej przez myśl, żeby ją zbudzić i zapytać dlaczego nie śpi w łóżku przeznaczonym dla niej. Stało ono przecież pod przeciwległą ścianą tego samego pokoju. Anioł niecierpliwym gestem dłoni, zabronił jej jednak budzenia przyjaciółki. Mocniej docisnęła suknię do piersi i ruszyła w ślad za nim. Szedł szybko, klucząc uliczkami Dzerulasem. Tam gdzie było więcej światła z pochodni pozostawionych przez strażę, przyspieszał kroku. Poza kręgiem światła, spoglądał przez ramię, czy nie zgubi jej w ciemności. Na niebie nie było ani gwiazd ani księżyc. Wreszcie stanęli przed furką, ukrytą we wnęce pobielonego wysokiego ogrodzenia. Jak się wydaje zwieńczonego drewnianą falbaną. Furka miała dość wysoki próg i niskie sklepienie. Było to boczne wejście na dziedziniec nieznaney posesji. Od strony schowanego za murem podwórza, przechylało się ku nim drzewo akacji. Mirae poznała je po silnym zapachu kwiatów, który przypominał jej rodzinny dom w Miralli. – To tu – wskazał ręką Anioł. Gest ten zaś miał świadczyć o tym, że on swoje zadanie wykonał i na tym się ono kończy. Mirae wystraszyła się, że dalej nie da sobie rady. Anioł pchnął jednak furtkę. Pod naciskiem jego dłoni, szerokim łukiem zawiasów, bez jednego skrzypnięcia, furka odeszła do wewnątrz podwórza. Mirae z duszą na ramieniu przekroczyła próg. Zrobiła kilka kroków do wewnątrz. Zrozumiała, że w ciemnościach jest ktoś dla kogo ona została tu przyprowadzona. Czuła obecność tajemniczej postaci. Postać przyglądała się jej z boków, z góry. Okrążała ją, to przybliżała do niej, oddalała. Muskała delikatnym powiewem powietrza jej twarz i włosy.

- Kim jesteś? – wyszeptała przerażona Mirae. Nie otrzymała od razu odpowiedzi. Nagły podmuch wiatru zerwał jej z głowy chustę, porywając w ciemność podwórza. Starła się ją pochwycić końcem palców, ale było już za późno.

- Jestem Twoim Bogiem – usłyszała głos. – Jestem panem tego ludu i panem tej ziemi. Jestem panem ludów, których nie znasz i panem ziem, których nigdy nie widziałas. To ja dałem ci życie i to ja mogę ci je odebrać. - Mirae zakręciło się w głowie. Bała się, że straci równowagę. Przyklękła na kolano. Jakaś pomocna dłoń otarła jej czoło chłodnym ręcznikiem. Mówił do niej Bóg. Ten sam, który mieszkał w świątyni, zbudowanej przez króla Malsamona na wzgórzu Moria. Bóg wszystkiego ponad Wszystkim.

- Czego chcesz ode mnie Panie? – zapytała pełna obawy. Bóg jednak nie spieszył się z odpowiedzią. Przyglądał się jej. Nie sprawdzał jednak, czy dziewczyna którą wybrał, nadaje się do misji jaką dla niej przygotował. Kontemplował jej strach, nieprzeciętną jak na gatunek ludzki urodę oraz posłuszeństwo. Skosztował jej strachu i poczuł jak wspaniale smakuje. Naraz usłyszała Jego głos nad sobą.

- Dozwoliłem aby mój syn, spojrział dziś na ciebie – nie wypowiedział imienia syna, ale Mirae wiedziała, że chodzi o mężczyznę z placu Ain Karem. Tego samego z którym wymieniła krótkie spojrzenie, kiedy zbierały się do odejścia w głąb miasta. Czasem spojrzenia nie muszą być długie, aby je zapamiętać.

- Kiedy wstanie dzień, o tej samej porze co wczoraj, pójdziesz znów na plac. Słyszysz Mirae? O tej samej porze, pójdziesz znów na plac ... - powtórzył. Jego głos niesiony powiewem, odbił się echem od murów dziedzińca.

Znowu, czyjaś przyjazna dłoń, przyniosła jej niespodziewaną ulgę chłodu. Ktoś przyłożył zewnętrzną część swojej dłoni do jej policzka, sprawdzał, martwił się.

- Powtórzysz mu to, co ci teraz powiem – uszu Mirae dobiegły pierwsze słowa, gdy nagle ogarnęło ją odprężenie i błoga senność. Spokojnie zawirował świat. „Cóż za wspaniałe uczucie” – pomyślała Mirae.

-&*&-

Salmah niewyspana i zmartwiona chorobą córki swego brata, praktycznie nie zmrużyła oka przez noc. Czuwała przy jej łóżku na zmianę z Zofią. Bała się „katastrofy”, jak jej stan określił lekarz, która mogła nadejść nie proszona tego ranka. A przecież nie po to brat oddał ją, jej pod opiekę, by teraz stała się jej krzywda.

Pod jej okiem miała rozpocząć nowy rozdział w swoim życiu. Bez plotek i niejasnych pomówień, które psuły jej reputację. Salmah zdawała sobie sprawę, że nie było w nich nic z prawdy, ale plotka to narzędzie, które kute jest w niespełnionym oczekiwaniu. A w przypadku mężczyzn, urażona duma, jest gorsza niż zatruta strzała.

Mąż Salmah, Nikodem siedział za stołem. Przegryzał chleb z miodem popijając mlekiem. W perspektywie miał wyjazd po zapas gliny do Ramla. Był bowiem garncarzem. Nie spieszył się. Poza dostarczeniem urobku do warsztatu, nie planował podejmować dziś innych zajęć. Przeżuwał powoli każdy kęs, zastanawiając się jak przekazać złą wiadomość szwagrowi, jeśli Mirae nie przeżyje nocy. Żadne rozwiązanie nie wydawało mu się ani łatwe ani właściwe. Upieczony przez żonę chleb, był z tych samych składników co zawsze. I tak samo jak zawsze powinien dobrze smakować. Ale dziś czuł gorycz piołunu w przełyku. Nagle zasłona w drzwiach kuchennych zafalowała. Delikatna dłoń odsunęła ją na bok.

- Mirae? – Salmah odwróciła się od paleniska na którym kończyła szykować poranną strawę – Co, co ty tutaj robisz?

Dziewczyna zmieszana zdziwieniem gospodyni, nie wiedziała co odpowiedzieć. Czowała się tak, jakby popełniła gruby i niezrozumiały nietakt. Z tego co pamiętała, już dawno jej ojciec ustalił, że od tego lata będzie mieszkać u ciotki w Dzerulasem. Mąż Salmah, również nie krył zdziwienia. Ciotka wytarła ręce obsypane mąką, z placków ziemniaczanych w fartuch przepasany na biodrach. Z niedowierzaniem podeszła do siostrzenicy. Dotknęła jej czoła i policzków. Spojrzała w oczy pod różnymi kątami, podnosząc kciukami powieki. Wreszcie wydała opinie:

- To niemożliwe – Mirae nie wiedziała jednak co jest niemożliwe – Gdzie jest Zofia? – zapytała Salmah.

- Zofia ... śpi. – odpowiedziała niepewnie, jakby nie wiedziała, czy ta odpowiedź również nie będzie zaskoczeniem. Salmah minęła ją i pobiegła do pokoju budzić Zofię. Za chwilę obie stały przed Mirae, przyglądając się jej tak jakby zobaczyły ją pierwszy raz od bardzo dawna.

- Powiecie mi wreszcie co się stało? – zapytała zirytowana całą sytuacją Mirae.

-&*&-

- Czy to mogło być tutaj? – Salmah wskazała na wysoki biały mur zakończony na samej górze szerokimi dachówkami. Mirae powiodła dłonią po strukturze muru. Niedawno był odnowiony. Dziury pozalepiane zostały gliną, a cały mur pobielony.

- Nie wiem – powiedziała niepewnie. Nie czuła zapachu akacji.

- No ale gdzieś tu? – starała się doprecyzować Zofia.

- Chyba tak – próbowała sobie przypomnieć Mirae – najpierw poszliśmy w lewo, potem jeszcze raz w lewo. I chyba ... w prawo?

- Chyba? – prychnęła niezadowolona kobieta, której Mirae nie znała. A która, była tu tylko dzięki temu, że ciotka Salmah, wygadała się przed swoimi przyjaciółkami, iż jej siostrzenica w nocy rozmawiała z Bogiem. Takich kobiet z asysty było kilka. To pod ich wpływem i namową, Mirae zgodziła się, wskazać miejsce, nocnego spotkania. Nie mogła sobie jednak poradzić z tym co widziała w nocy, z tym co było za dnia. Odwiedziły kilka miejsc w okolicy, ale co do żadnego nie miała stuprocentowej pewności. Raz niby zgadzało się jej wejście przez furkę, ale po wejściu do środka, okazało się, że jest tam wielka sadzawka, służąca trędowatym do rytualnych oczyszczeń. Część kobiet, była bardzo oburzonych tak omyłkowym wskazaniem. Mirae była zaś coraz bardziej zmęczona, zrezygnowana i zniechęcona.

- Nie. Nie wiem. Nie przypomnę sobie – powiedziała w końcu. Sprawiała tym spory zawód otaczającej ją gawiedzi. Tym bardziej, że nie mogła przypomnieć sobie, co w nocy, mówił do niej Bóg. Widząc jak się rzeczy mają, ciotka Salmah postanowiła zakończyć nieudaną wyprawę.

- Dość tego – powiedziała stanowczo - Dziewczyna jest blada jak papier i przemęczona po chorobie. Wracamy do domu. - Pożegnały się z kobietami, które ruszyły w swoją stronę. Mirae z ulgą przyjęła taki obrót sprawy. Naprawdę potrzebowała odpoczynku. Nie spodziewała się, że pobyt w Dzerulasem dostarczy jest tak wiele wrażeń w tak krótkim czasie.

Po obiedzie, Mirae wyprowadziła Zofię, przed dom ciotki.

- Muszę iść – powiedziała tajemniczo.

- Dokąd? – zdziwiła się Zofia. Czuła, że to jakiś dalszy ciąg tego co działo się w nocy.

- Na plac Ain Karem – Mirae, po raz pierwszy od poranka, podała konkretną nazwę.

- Czy mam iść z Tobą? – dopytywała przyjaciółka.

- Nie – zaprzeczyła – Ucałowała Zofię w policzek i ruszyła przed siebie.

-&*&-

Filip, Tomasz i Jakub, uczniowie Joshuy rozgrzali kamienie, podkładając suche gałęzie do ogniska, które paliło się w specjalnie wygrzebanej komorze. Na płaskich taflach piaskowca dochodziła wypatroszona ryba. Kiedy Joshua nauczał, oni na rozkaz Kefy, wypłynęli pożyczoną łodzią kilkadziesiąt metrów od brzegu na jezioro Gezetnare. Połów okazał się obfity. Na obiad złowili cefale i tilapie. Zatem ryby słusznego rozmiaru, o dobrym smaku i nie za trudnych w przygotowaniu. Wystarczyło dodać oliwy i soli, przypraw majeranku i oregano. Te zaś miał zawsze przy sobie Jakub. Jedynym niezadowolonym był Suda, który jako skarbnik, musiał wysupłać denara na opłacenie wynajmu łodzi.

- Myślicie, że pieniądze rosną na drzewach? – Irytował się. Od ludzi, którzy przyszedli na naukę, ledwo co udało mu się zebrać dziś trzy denary. Byli bardzo skąpi. W dodatku musiał je zbierać w taki sposób, żeby nie widział tego Mistrz. Nie chciał, żeby mówiono o Nim, że naucza za pieniądze. Ale jeść, to każdy chciał. I Suda wiedział swoje. Kiedy płacił rybakowi, żaden z pozostałych uczniów, nie zapytał skąd ma pieniądze, choć doskonale wiedzieli jak je zdobył.

Joshua skończył nauczać już jakiś czas temu. Odpoczywał oparty plecami o sykomorę ze wzrokiem skierowanym na jezioro. Ręce założone miał za plecy. Trudno było cokolwiek wyczytać z wyrazu jego twarzy. Sprawiał wrażenie człowieka, który martwił się o to, ile osób zrozumiało przypowieść i w efekcie, czy da to jakiś efekt w przyszłości.

Przy palenisku, schowanym pośród niewysokich skał, Kefa nerwowo poganiał współtowarzyszy:

- Ile to można się guzdrać z kilkoma rybami? Nauczyciel pewnie jest już głodny.
- Nie przesadzaj Kefa – odparował spokojnie Suda – jak go znam, to nawet jak będzie głodny i tak słowa nie powie.
- Może i nie powie, ale swoje myśli.
- Może myśli, może nie myśli – Suda nie chciał rezygnować.
- Ta jest już dobra – wmieszał się w pyskówkę Filip – Idź, wołaj go. - Kefa puścił mimo uszu, polecenie. Na szczęście sytuację uratował Jon:
- Ja pójdę – powiedział zrywając się z miejsca i pobiegł w kierunku Mistrza. Wkrótce Joshua siedział przy palenisku razem ze swoimi uczniami.
- Mistrzu, co oznaczała dzisiejsza przypowieść, którą mówiłeś ludziom? – przerwał ciszę Filip – zrobił to umyślnie, bo wiedział, że Mistrz lubi, kiedy może wyjaśnić jakieś

wątpliwości. Joshua wytarł ręce, chwycił kubek. Przechylił łyk wody. Nie odstawiając kubka, oplótł go palcami obydwu dłoni.

- To wam powiem, że Królestwo niebieskie, jest podobne do ziarnka gorczycy, które ktoś wziął i posiał na swej roli. Jest ono najmniejsze ze wszystkich nasion, lecz gdy wyrośnie, staje się drzewem, tak że ptaki przylatują z powietrza i gnieźdzą się na jego gałęziach – przełknął kolejny łyk i kontynuował – Aby stać się drzewem, potrzebna jest wam praca nad sobą i doskonalenie się w cnotach. Tylko to zapewni wam ciągły rozwój.

- Studiowanie dobrych pism?

- Dobrych i złych, Kefa. Musisz mieć jakiś punkt odniesienia – poprawił go.

- A jeśli się nie udaje? – wtrącił Suda.

- Musisz próbować. Co robisz jak się potkniesz i przewrócisz? – Joshua nie czekał na odpowiedź – Wstajesz, opatrujesz rany i idziesz dalej. Pomyśl o tym jak o kolejnym doświadczeniu z którego możesz wyciągnąć wnioski.

Mistrz odłożył kubek. Sięgnął po kolejny kawałek ryby.

- Mistrzu, czy dziś będziesz mówił jeszcze do ludzi? – spytał Jon. Mistrz pokręcił przecząco głową. I to w sposób wykluczający jakąkolwiek wątpliwość.

- Dlaczego oni się nie rozchodzą? Dlaczego nie idą do domów? – dziwił się Jon, rozglądając wokół. Tłum zaś podzielił się na grupki i tak jak i oni, raczył się przyniesioną ze sobą strawą, bądź po prostu odpoczywał rozważając słowa otrzymanej nauki.

- Czekają na cud – powiedział pewny siebie Suda. A na myśli miał, jakiś spektakularny wyczyn Mistrza, o którym nazajutrz mówiłoby całe Dzerulasem. Joshua, pomiędzy jednym a drugim kęsem mięsa, uśmiechnął się sam do siebie.

- Cuda, o tyle są dobre jeśli są potrzebne.

I zrozumieli wtedy, że dziś, tam takich nie będzie. Po skończonym posiłku wracali do miasta. Słońce zeszło z zenitu dwie godziny temu. Nie przeszkadzało w marszu. Część ludzi ruszyła za nimi, ale im było bliżej miasta, tym ich masa topniała, aż wreszcie zostali sami. Wchodzili bramą Damasceńską. Pokonali kilka krótkich wąskich uliczek. Joshua prowadził ich na nocleg, tak samo jak wczoraj, przez plac Ain Karem. Jakież było zdziwienie Kefy, kiedy po przekroczeniu wschodniej bramy i wejściu na plac ujrzał przy studni, siedzącą na jej cokole, Mirae. Na widok Mistrza dziewczyna wstała. Tak jak wstają domownicy witając oczekiwanych gości. Baczenie się mu przypatrywała. „Co ona wyprawia?” – oburzył się w myślach Kefa. Nie rozumiał tej sytuacji.

Wyglądało to tak, jakby ona czekała tu na Niego. Tymczasem Joshua poprosił swoich uczniów, by usiedli mniej więcej w tym samym miejscu, w którym odpoczywali wczoraj. Po południowej stronie placu. Sam zaś podszedł do studni. Rozpoczął rozmowę z dziewczyną. Kefa i inni uczniowie nadstawiali ciekawie uszu. Nie mogli jednak posłyszeć o czym mówią. Byli zbyt daleko. Mirae wyglądała na wyraźnie wzruszoną. Czasem próbowała się uśmiechnąć. Ale to było tylko wtedy, kiedy On coś powiedział.

- Naprawdę jesteś jego synem? – zapytała zdobywszy się na odwagę.

- Tak ci powiedział?

- Trochę orientuje się w pismach. Wiem, że syn Boga ma się narodzić z ciała pośród Wigomerów.

- Oto jestem – powiedział Joshua. – Stoję przed tobą. Świat mnie jeszcze jednak nie zna, ponieważ chwila jeszcze nie nadeszła.

Mirae zupełnie nieświadomie nawiązała do owej chwili.

- Mam ci przekazać, że jeden z twoich uczniów Cię zdradzi – powiedziała niepewnie przygryzając dolną wargę. Powiedziała to, co zostało jej przekazane, nie bardzo wiedząc jakiego rodzaju może to być zdrada, co może oznaczać, jakie mieć konsekwencje ani jak szybko może nadejść.

- Kto taki? – zapytał Joshua – znasz jego imię?

Mirae pokręciła przecząco głową.

- Nie, ale ten człowiek jest Twoim skarbnikiem.

Joshua już miał zaprzeczyć, że nie wymaga wynagrodzenia za głoszone nauki, kiedy na placu pojawił się tajemniczy człowiek. Wszedł bramą od strony miasta. Jak cień przemknął chyłkiem, pod ścianą południowego krużganka. Zakrywał przy tym twarz, częścią rozwiniętego efodu. Zatrzymał się opodal grupki odpoczywających uczniów. Schowany za kolumną wypatrzył pośród nich Sude z Iszkeru i przywołał go na bok ruchem dłoni. Obaj szeptali między sobą krótki czas, po czym człowiek oddalił się w tym samym kierunku z którego przyszedł przezornie pochylając głowę. Jednak Kefa rozpoznał go, to był sługa setnika Negata.

- Nie wtrącaj się – Suda rzucił półgębkiem przechodząc obok Kefy, kiedy ten już miał zapytać co oznacza to zamieszanie. Suda minął go i zaczął zbliżać się do Mistrza. Stał za jego plecami. Nerwowo, niezgrabnymi krótkimi palcami, poprawiał sznur, którym przepasana była jego tunika. Joshua domyślił się, kto za nim stoi. Słyszał jak w trzosie, kiedy doń podchodził, krok za krokiem, dzwoniły srebrniki.

- Nauczycielu - Suda zrobił wymowną przerwę, głos drżał mu ze zdenerwowania - musimy stąd odejść. Kapłani Ushafearaf opłacili umówionych ludzi. Idą tu żeby cię pojmać.

Nie było tajemnicą, że od jakiegoś czasu szukają okazji, by go uwięzić. Nauka jaką głosił wychodziła daleko poza ramy wyznaczone przez proroków. Podważał prawo Jozeta, łamał zasady uzdrawiając chorych w szabat, spożywał z celnikami w ich domu posiłki. Lista przewinień Joshuy była znacznie dłuższa. Przez ostatnie kilka lat, od ujawnienia się i podjęcia drogi nauczania, sumiennie zapracował na to, by stać się wrogiem numer jeden Dransehynu, czyli najwyższej rady religijnej i sądowniczej w Dzerulasem i całym Wigomerze. Było niepojęte, żeby człowiek znikąd głosił nowe prawo w oparciu o stary kanon bez zgody kapłanów.

Suda zrobił krok w tył. Był pewien, że Mistrz za chwilę się odwróci i czym prędzej odda się z tego niebezpiecznego miejsca. Póki jeszcze był czas. Mistrz posłyszał ostrzegawczą informację, ale podobnie jak dzień wcześniej przy napomnieniach Kefy, zachował całkowity spokój. Spojrzał na Mirae. Sprawdzał, czy więcej jest w niej szczerości, czy zakłopotania. Wreszcie, lekko przechylił głowę przez prawe ramię.

- Dziękuję Suda. Będę o tym pamiętał. – rzekł spokojnie.

Zaskoczony uczeń nie bardzo wiedział, co ma począć. Nie wiedział, czy ma iść, czy ma zostać, czy ma przekonywać, perswadować? Jego rozmyślania nie na wiele się zdały. Zabrakło czasu na jakąkolwiek inną reakcję. Przez zachodnią bramę wpadli na plac ludzie, przed którymi ostrzegał sługa celnika. Gromada była jak rozjuszony byk, który w rozpędzie wpadł na arenę i zarył przednimi nogami w ziemię, szukając wzrokiem swojej ofiary. Dyszał i sapał żądzą krwi. Po prawej swojej stronie miał uczniów Mistrza, odpoczywających na południowym krążanku. Na wprost stał Mistrz, Mirae i nieco z tyłu Suda. Pomędzy nimi, a agresywnym tłumem znajdowała się studnia. „Byk” nie zdążył jeszcze nabrać rozpędu, by staranować Nauczyciela, kiedy ten wyminął studnie i wyszedł mu naprzeciw. Suda ze zdumieniem zauważył, że Nauczyciel trzyma w ręku jego kij. Musiał go zostawić wczoraj, tu przy studni, bo skądże by go wziął?

Ludziom przybyłym na plac przewodził Barisha. Zausznik kapłanów od brudnej roboty. Nikomu za czasów Heroda Antypasa, jego namiestnika Ponopilada, nie było tak wiele wybaczone i zapomniane co jemu. Szara eminencja świątyni ze wzgórza Moria strzegł interesów Lewitów, Ushafearaf, stronnictwa Sadok i wszelkiej

maści tych, którzy potrafili dobrze płacić, nie pytając o sposób załatwienia sprawy, a jedynie o rezultat. Obok Barishy kroczył dumnie osiłek zwany Rushar, który predysponował, do tytułu, bezwzględnego wykonawcy jego poleceń. Był prawą ręką Barishy. Za nimi podążało kilkunastu mężczyzn. Nie posiadali broni, bowiem jej noszenia zakazywało rzymskie prawo, ale sytuacja była bardzo groźna. Napastnicy byli zdeterminowani i pobudzeni do działania. W dodatku byli w liczebnej przewadze. Nagle, tuż obok głowy Mistrza przeleciał wyrzucony w powietrze kamień. Rzucił go jeden z przybyłych ludzi stojących za plecami Barishy i Rushara. Kamień zatoczył parabolę i z całym impetem trafił w przedramię Mirae. Na szczęście rzut nie był na tyle precyzyjny, by ją zabić. Kamień nie trafił w głowę. Siła uderzenia była jednak tak duża, że dziewczyna z okrzykiem bólu osunęła się na cokół studni i zaczęła głośno płakać. „To nie po Niego przyszli – domyślił się zaskoczony Suda - lecz po nią”. Nie na wiele zmieniało to jednak obraz sytuacji. Wciąż byli zagrożeni. Tymczasem napastnicy rozglądali się wokół siebie szukając innych kamieni, które można by cisnąć w kierunku Mirae, ale takich wokół nich nie było. Wzrok Rushara pożądliwie zatrzymał się na stercie otoczków przy stopach Joshuy. Ten stał bowiem, dokładnie w miejscu, w którym zostawił je wczoraj Jon. Kefa, Filip i inni uczniowie wstali ze swoich miejsc. Dali znać ludziom kapłanów, że są gotowi do interwencji w obronie swojego Mistrza. Wystarczyłoby tylko jeden krok więcej, a ruszyliby do bójki.

- Nauczycielu – zaczął Barisha, widząc że osiągnięcie zamierzonego celu nie będzie takie proste – kobietę tę pochwycono na rozmowie z duchami. Musimy ją ukamienować.

U Joshuy nie poruszył się ani jeden mięsień na twarzy. Ani razu nie mrugnęła powieka. Mierzył wzrokiem przyszłego wykonawcę wyroku.

- Przyszliśmy wykonać Prawo na czarownicy – powiedział dobitnie Barisha tak, jakby nie był pewien, czy Joshua dobrze usłyszał jego słowa. Banda z tyłu szemrząc, niecierpliwie przebierała nogami. Rozglądała się na boki w poszukiwaniu odpowiedniej wielkości kamieni.

- Przypomnij mi – odezwał się wreszcie Nauczyciel – o jakie Prawo chodzi.

Chciał usłyszeć uzasadnienie, którym się podpiera. Ale tu jak z procy wystrzelił Rushar.

- Księga Kapłanów, rozdział dwudziesty: „A jeżeli mężczyzna albo kobieta będą wywoływać duchy lub wróżyć, to poniosą śmierć. Ukamienują ich, krew ich spadnie na nich”.

Zadowolony z tak szybkiej riposty Rushara, Barisha triumfował. Joshua doskonale wiedział i znał wszystkie zapisy wszystkich ksiąg proroków. Wiedział też, że to pretekst, by zlikwidować niewygodnego świadka, słabości mężczyzn z pokolenia Sadok i Ushafearaf.

- Nie zadrzy ci ręka – Mistrz zrobił umyślną przerwę, obserwując Barishę - kiedy podniesiesz kamień?

- Uczni w piśmie ze wzgórza Moria, uczynili nas narzędziem w tej sprawie – odparł pewny siebie Barisha. Powiedział to tak urzędowo, jakby miał zaraz okazać odpowiedni glejt z najważniejszą pieczęcią.

- A jeśli sami jesteście grzeszni i zasługujecie na śmierć? – Joshua zawiesił głos – To czy to Prawo, będzie dotyczyło również was?

Spojrzeni po sobie zbici z tropu. Pierwszy otrząsnął się Barisha.

- A gdzież to mówi o tym nasz Bóg? – bo nijak nie mógł skojarzyć, by osobiście namaszczeni przez kapłanów, w słusznej sprawie podlegali karze śmierci, bez udowodnienia winy.

- Ja wam to mówię – powiedział Joshua. Podniósł kij i wskazał nim tego, który rzucił kamieniem jako pierwszy i uderzył nim Mirae.

- Uwiodłeś żonę brata swego – rzekł jak sędzia, który ma wszystkie dowody w jednym ręku. Obwiniony już miał iść w zaparte ale Joshua wymienił imię kobiety, wskazał miejsce i czas – według Prawa zasługujesz na śmierć – orzekł.

Zapadła nieprzyjemna cisza. Wydźwięk jej był podwójnie wymowny. Kobieta była siostrą Barishy. Na domiar złego Barisha sam przyłożył do tego występku rękę, bowiem nie cierpiał swego szwagra. Za to, że wydarł mu część majątku po zmarłym ojcu. Joshua nie czekał na usprawiedliwienia.

– Ty i ty – wskazał następnych, a było to dwóch braci bliźniaków – waszą winą jest morderstwo – tu wymienił znane i głośne imię człowieka zamordowanego w minionym roku. Czyn ten do tej pory przypisywano rzymianom. I w tym przypadku podał miejsce, czas i sposób - według Prawa obaj zasługujecie na śmierć.

– Ty! – kij w jego rękę powędrował w inny koniec grupy – cudzołożyłeś.

I dalej wymieniał wskazując po kolei na stojących zbirów: homoseksualizm, bałwochwalstwo, kazirodztwo

Ludzie Barishy, jeden po drugim, tracili rezon i pewność siebie. Spoglądali spode łba nawzajem, bo znali swoje uczynki. Z których nieraz sami przed sobą się chwalili. Wreszcie zaczęli odchodzić ze spuszczoneymi głowami. Kiedy przysła kolej na

Rushara, ten odwrócił się na pięcie i uciekł. Mistrz na świadectwo prawdzie, uderzył końcem kija w piasek, a na nim wypisana została jego wina. Pozostał tylko Barisha. Uciekł by już dawno, ale wstyd i fałszywie pojmowana duma trzymała go w miejscu. Nie mógł pojąć, skąd ten Galilejczyk zna ich sprawy. Zamknął oczy. Szybko poruszając grdyką, czekał na oskarżenie. Zamiast tego Joshua rzucił kij pod jego nogi, kiedy Barisha otworzył oczy, kij przemienił się w węża. I wtedy Berisha już nie wytrzymał. Tak jak Rushar zaczął uciekać. Zaś łyzy bezsilności, klęski i kompromitacji same cisnęły mu się do oczu. Ledwie jego tunika zniknęła w czeliści zachodniej bramy, do Mistrza przypadli uczniowie.

- Nauczycielu jak to zrobiłeś?! – Wołał podekscytowany Kefa. Nie rozumiał skąd wiedział wczoraj, co stanie się dziś. Inaczej przecież nie nakazałby Jonowi zbierać kamieni. Wszyscy łaknęli szczegółów.

Mistrz uniósł ręce do góry jakby odganiał się przed natrętymi dzieciakami proszącymi o słodycze.

- Przecież powiedziałem wam – rzekł, żeby ich uspokoić, – że cuda są dobre, o ile są potrzebne.

Tu odwrócił się w kierunku Mirae. Ta trzymając rękę na zranionym przedramieniu przestała płakać. Na jej zaskoczony twarzy pojawił się nikły uśmiech wdzięczności.

- Chodźmy – powiedział Mistrz i zrobił krok ku zachodniej bramie – czas przygotować się do kolacji.

Ruszyli ławą. Oni, jego uczniowie, szli rozradowani jak drużyna, która wygrała bardzo ważny mecz. Byli dumni ze swego Nauczyciela. Tak dumni, że nikt nawet przez sekundę nie pomyślał o konsekwencjach zwycięstwa.

Suda w milczeniu wyminął Mirae. Z jednej strony żałował jej za to co ją spotkało ale z drugiej strony, nie miał zamiaru jej pocieszać. Za studnią, w miejscu niedawnej potyczki, pochylił się i podniósł z ziemi swój kij. Mógłby przysiąc, że jeszcze przed chwilą ten kij pełzał po piasku. Teraz był jednak taki sam jakim go znał wcześniej. Żyłasty, zasuszony i twardy. Dla pewności przeciął nim energicznym ruchem, powietrze z lewa na prawą. Tak jak to się robi mieczem, sprawdzając jego przydatność. To bez wątplenia był zwykły kij. Jego własny. Przyspieszył kroku, by dogonić grupę. Kiedy byli już na trzeciej albo czwartej ulicy od placu, coś go tknęło. Obejrzał się za siebie.

- Ona idzie za nami – powiedział do Kefy, który razem z nim zamykał pochód.

- Kto? – nie od razu zorientował się Kefa. Szybko jednak rzucił okiem za plecy. Pokręcił głową ze złości. – Na psa urok! – zaklął i splunął na wszelki wypadek trzy razy przez lewe ramię.

Rozdział II. Narodziny Windura

Windur narodził się poza industrialną Wielką Magistralą strumienia elektromagnetycznego centralnej części Wszechświata. Narodziny nie były spektakularne. Rodził się wolno i niepozornie, ślamazarnie i nieporadnie. Nie, że tak chciał. Nie miał możliwości urodzić się inaczej. Był ziarnem atomu zgubionym w transporcie „resztek”, wymarłej cywilizacji, niezapisanym niedookreśleniem, z którego mogło urodzić się życie, ale równie dobrze, mógł zostać wprasowany w koła zębate Wszechświata i zamieniony bezpowrotnie i nieodwracalnie w pył. Jako zagubiony atom, nikomu nie był potrzebny, ani też nikt się nim nie interesował. Nikt nie oczekiwał, że może być zaczątkiem samodzielnego bytu. Nawet sam Windur, nie wiedział wtedy, że może się nim stać, i że może się tak nazywać. Zupełny przypadek sprawił, że pojawił się obok niego inny atom. Dzięki któremu zyskał punkt odniesienia. Zyskał świadomość i mógł powiedzieć o sobie: „JA JESTEM”.

„Ponieważ na początku było słowo, a słowo stało się ciałem”

Tyle, że Windur nie miał ciała w rozumieniu stałej materii. Był pasmem widmowym. Uzyskawszy świadomość począł analizować otaczający go świat. Poznał co jest dla niego dobre, a co złe. Dobre zaczął pozyskiwać, złego unikać. Doświadczenie istnienia potęgowało w nim coraz więcej myśli. Myśl nabierała gęstości, nabierała formy. W końcu było jej tak dużo, że zapragnęła realizacji, poprzez doświadczenie. Windur istniał. Nauczył się poruszać siłą myśli. Potrafił opisać otaczający go wszechświat obowiązującą miarą odległości w jardelach, waga nosiła nazwę braketli, a czas mierzył licząc kwartele. Nauczył się wykorzystywać skrawki energii pałatające bezpiecznie we Wszechświecie. Był to pokarm małowartościowy, ale na inny nie było go stać. Nauczył się wchodzić w interakcje z innymi bytami. Oceniał je, badał, porównywał. Uczył się. Również wtedy, kiedy obce, agresywne siły próbowały go zniszczyć i przejąć jego energię i zająć jego przestrzeń we Wszechświecie. Upłynęło dużo czasu, aż stał się na tyle szybki, żeby sobie z nimi radzić. Zdobywszy konieczne doświadczenie, nauczył

się przemierzać wielowymiarowy Wszechświat. Poznał zasady i obowiązujące relacje. Wiedział już, że nie istnieje coś takiego jak chaos. Wszechświat był podzielony na strefy wpływów różnych sił. Na jego szczęście istniał w tej układance pewien margines, dla takich jak on. Zrodzonych na ugorze kosmosu, z przypadku lub szczęśliwej okoliczności.

Aby móc funkcjonować w różnych obszarach i wymiarach, nieustannie musiał poszukiwać energii. Energia była najcenniejszą rzeczą we Wszechświecie. Walutą i pokarmem. Powodem i sensem jego istnienia. Sensem wszystkiego. Uzasadnieniem wszelkich działań. Najwyższą wartością. Dla jej zdobycia nie wahano się użyć podstępów, wypowiedzieć bitwy lub dopuścić zdrady. Wszystko zależało od skali zapotrzebowania. Dlatego Windur w swej własnej skali, jako pojedyncze pasmo widma stopnia pierwszego zawarł sojusze. Jedne bardziej korzystne, inne mniej. Uzyskał dzięki temu dostęp do cennych informacji, pozostających dotychczas poza skalą jego poznania.

Władze nad najcenniejszymi informacjami posiadały byty, które pochodziły z czwartego poziomu pasm widmowych. Podobno poziomów było siedem. Windur nie mógł jednak tego stwierdzić, bo nigdy nie miał z nimi do czynienia. Jak bogate było pasmo czwarte niech świadczy chociażby, niedostępna dla niższych pasm, możliwość produkowania i handlowania przetworzoną energią. Ponadto widma z pasma czwartego, posiadały urzędowy glejt osądzania bytów z niższych widm. Łącznie z możliwością ich anihilacji. Rozbicia na pojedyncze atomy i zniszczenia świadomości.

Windur na czwartym poziomie znalazł klan Kwaków, z którym prowadził interesy. Chociaż, stosowniej byłoby odwrócić relacje, bowiem interes robili Kwakowie, a cała reszta bytów niższych, zjadała okruchy z pańskiego stołu. Była na łasce i niełasce klanu, który dyktował warunki popytu i podaży. W zasadzie, pracę Windura należy określić, jako dostarczanie w formie haraczu, wyznaczonej ilości energii. Gdyby nie to, Kwakowie szybko skreśliliby go z listy akceptowanych bytów. I przestaliby być tolerowani.

Windur, tak jak i jemu podobne widma z pasma pierwszego, zdobywał energię przede wszystkim na złych podróżnikach, nazywanych Kłamcami. Urządzał na nich zasadzki, walczył, ścigał. Trudny to jednak był kawałek chleba, ponieważ Kłamcy potrafili się bronić, a energia była im tak samo potrzebna do życia jak widmom z „dobrej” strony. Energii nigdy nie było za wiele. Windur cierpiał głód. Kwakowie, coraz mniej płacili za towar zdobyty na Kłamcach. Za to bardzo dobrze płacili za

rzadko spotykane źródła energii o unikalnych smakach i długim terminie przydatności. Na przykład, za energię pochodzącą z czyjegoś sukcesu. Energia złych, miała gorzki i kwaśny smak nienawiści i zemsty. Nie powinno się jej spożywać w surowej postaci, ponieważ psuła strukturę widma. Kontrast i gęstość. Im więcej się jej spożyło, tym bardziej upodabniało się do złych. Kwakowie posiadali technologię jej odkwaszania. I z tego tytułu byli najpotężniejszym znanym mu klanem.

To było jedno z doświadczeń Windura. Wiecznie głodny, oszukiwany przez Kwaków, zabierał energię złym i spożywał w surowej postaci. Obiecał sobie, że nie straci nad tym kontroli, ale po wielu kwartelach głodówki, coraz dalej przesuwiał granicę w stronę złych. W końcu przestał opłacać się Kwakom i ci wydali za nim list gończy. Rozpuścili najemników, by zmusić go do wypełnienia kontraktu. Windur nie miał wyjścia. Przystał do złych podróżników. Już nie był swój, był obcy, ze skazą urodzenia w pasie dobrych widm. Wiedział, że to nie jest miejsce dla niego, ale nie miał dokąd iść. Takich jak On, po stronie Kłamców było bardzo wielu, w różnym stopniu utraty barwy swojego podstawowego widma. Byli też i tacy, którzy bezpowrotnie stracili możliwość powrotu na dobrą stronę. Pewnie po wielu kwartelach kwarteli spotkałoby to samo Windura, gdyby nie pewne dramatyczne wydarzenie, które nastąpiło w galaktyce Tebach.

Od dłuższego czasu mówiło się pośród podróżnikami o mającej nastąpić „dużej” akcji na Kwaków. Duża akcja, oznaczała kradzież dużej ilości wysoko przetworzonej energii. Byłaby to niespotykana rzecz. Zuchwalstwo, i w ocenie Windura kompletne szaleństwo, bo któż mógł mierzyć się z klanem Kwaków? Plotka długo nie chciała się potwierdzić, jednak we Wszechświecie rozpoczął się ruch i narastało podniecenie pośród Kłamców. Kiedy Windur z kilkoma innymi złymi, przybył do Tebach, zastał tam całą armię podróżników. Wielkie masy rozgorączkowanych i głodnych bytów, przewalały się pomiędzy gwiazdami, oczekując na sygnał do ataku. Były ich tysiące! Plotka stała się faktem, a cel został namierzony. Był nim magazyn energii. Energii o niespotykanym smaku i zapachu. Windur mógł sam się o tym przekonać, podprowadzony w jego pobliże przez „życzliwych” złych. Dla rozbudzenia własnej rządu. Magazynem okazał się księżyc, głównej gwiazdy na Tebach. Kwakowie hodowali na nim bardzo prymitywne widma – zwierzęta. Windur obserwował z niedowierzaniem. Widma – prymitywy poruszały się bardzo ślamazarnie, potykały, zderzały ze sobą, kręciły w kółko. Wszystko to wyglądało na zakład kalekich, niedoskonałych lub wręcz upośledzonych widm. A jednak ... kiedy

tylko mocniej uchwycił zapach hodowli, poczuł, że coś dziwnego się z nim dzieje. Pożądał tej energii. Pragnął ją posiadać, spróbować. Jeść, jeść, jeść! Pośród masy Kłamców, z których wszyscy wołali: „Chcemy jeść!”, pojawiły się nagle dwa byty złe, posiadające drugi stopień pasma widmowego. To był Zuelba i Mrok. To oni podburzyli oceany Kłamców z różnych wymiarów i przywiedli je do galaktyki Tebach, aby okraść klan Kwaków. Oba byty nie potrafiły zabijać, ale potrafiły czynić duże szkody pośród innych widm. Bez różnicy. Dobrych czy złych. Ogołacały je z energii powiększając gęstość swego własnego widma. Dążąc w ten sposób do uzyskania tytułu widm ze stopnia trzeciego.

Podczas przeglądu zebranych oddziałów Zuelba, bez najmniejszych skrępowań upadła podległych mu wojowników. Żądał od nich daniny energii. Tych, którzy odmawiali dotkliwie kaleczył. A ponieważ był znacznie silniejszym widmem, nikt nie był w stanie mu się przeciwstawić. Wypatrzył również Windura i zażądał, by ten oddał mu resztki energii swojego pierwotnego widma. Rarytas pośród Kłamców, ponieważ te resztki nie smakowały jak nienawiść czy zemsta. Były jak płat miodu w beczce dziegciu. Sytuacja Windura była beznadziejna. Gdyby wypełnił polecenie, na zawsze pozostałby złym podróżnikiem. Przestałby odróżniać dobro od zła. Straciłby bazę, ostatnie ziarno z którego mógłby odbudować dawnego siebie. Odmówił. Zuelba wpadł we wściekłość. Rzucił się na Windura i pewnie zabrałby mu jego ostatnią iskrę posiadania dwubiegunowej świadomości, gdyby nie zamieszanie jakie nastąpiło. Kłamcy z tylnych szeregów pchali się do przodu, by zobaczyć co się dzieje, ci zaś z bliska uciekali w popłochu do tyłu. Windur poharatany cudem wyrwał się z pułapki. Uciekał z Tebach, tak szybko jak tylko się dało. Na szczęście nikt go nie gonił, bo tam z tyłu, za plecami, był ważniejszy cel do zrealizowania. Już na granicy galaktyki posłyszał dźwięk tysięcy trąb. To Zuelba i Mrok wydali rozkaz do ataku na magazyn energii klanu Kwaków.

Pobity i obolały Windur, obrał kierunek na stare śmieci. W te okolice, Wielkiej Magistrali, w których kiedyś się narodził. Lizał rany. Bezgłośnie trawił porażkę, zarzucając sobie brak ostrożności i lekkomyślność. Zaprzepaścił wszystko, co do tej pory osiągnął. Znowu cierpiał głód. Żywił się, jak wcześniej, resztkami znalezionymi w pobliżu Magistrali. Była to bezwartościowa energia. Wypełniacz widma, która zaledwie podtrzymywała jego strukturę w jednym kawałku. Musiało upłynąć wiele kwarteli, zanim odzyskał dawną gęstość. Przymusowy detoks oczyścił jego widmo z energii złych. Odzyskał siłę, szybkość i kontrast. Znow mógł się zasadzać na Kłamców

i zabierać im ich energię. Mądrzejszy o wcześniejsze doświadczenia, nie mieszał jej teraz ze swoim widmem. Zbierał. Kompresował. Ukrywał. Tak jak potrafił. Szykował haracz dla Kwaków. Musiał odkupić swoje wcześniejsze nieposłuszeństwo. Sprawić, by puścili mu to w niepamięć.

Rozdział III. Genesis

- Wiesz, co to jest? – zapytał Rajzer Kwak. W klanie był najmłodszym z braci. Pakunek był nieduży, przejmował jednak grozą od samego patrzenia nań. Windur, nie widział nigdy tak dużego ładunku energii, skompresowanego w tak małym kawałku przestrzeni. Czuł podświadomie, że nie jest to nic dobrego.

- To jest twój wyrok śmierci – Rajzer obrócił pakunek delikatnie wokół własnej osi, jakby szukał na nim daty wystawienia. Urzędowego stempla potwierdzającego słuszność i zasadność decyzji.

Windur z duszą na ramieniu przybył kilka kwarteli temu do galaktyki Genesis w okolicy gwiazdy Proxima Centauri. Z daleka widział ogromne wirtualne kły i drżał całym swym widmem, na myśl ujrzenia ich w działaniu. Musiał jednak podjąć ryzyko i dobrowolnie wszedł na terytorium drapieżnika. Nie wchodził jednak jak owca na rzeź, ani jak dumny paw. Był jak panna na wydaniu. Swawolny, zgrywający pewnego siebie, a jednocześnie roztargniony i udający nieświadomie zagrożenia. Natychmiast został osaczony przez widma z poziomu drugiego i trzeciego. Były to byty na usługach klanu Kwaków. Strażnicy Genesis. Nie posiadali oni mocy zabijania, ale mogły go bardzo mocno zmasakrować. Liczył na pewien element zaskoczenia i łut szczęścia. I to mu się udało. Zanim najemnicy Kwaków zdecydowali, co z nim zrobić, wyszło na jaw, że ciąży na nim wyrok anihilacji. Tej zaś mógł dokonać, tylko byt z poziomu czwartego, czyli ktoś bezpośrednio z klanu Kwaków. Strażnicy, otoczyli Windura i pod eskortą, zaprowadzili wprost przed oblicze, najmłodszego z braci.

Rajzer Kwak nie przestawał obracać pakunku w swoich wirtualnych dłoniach, ale teraz czynił to bardziej z rutyny, aniżeli miałoby to mieć dla niego jakieś istotne znaczenie. Wszak wszystko, co miał wiedzieć, wiedział już wcześniej. A byt stojący przed nim, był tylko jednym z wielkiej masy innych bytów wyrobników z poziomu pierwszego. Bezimiennym w swej postaci. Przydatnym o tyle, o ile wywiązywał się z narzuconej roli.

Los Windura tymczasowo ratowała karawana ładunków energii, jakie ciągnął za sobą na haracz dla Kwaków. Była to najlepsza energia, jaką udało mu się zdobyć. I teraz on, Windur chciał ją oddać klanowi. Wbrew samemu sobie. Na odkupienie własnych win, oraz by zyskać na czasie.

Rajzer Kwak, przyglądał się Windurowi, najpierw z zaciekawieniem potem z rozbawieniem przechodzącym w litość, aż wreszcie rzekł:

- Przyszedłeś zmazać własną winę? Ładunek energii jaki przywiodłeś, jest znacznie większy niż Twój dług. Poza tym, nie czuję od ciebie strachu, a przecież powinienem – dywagował na głos.

Windur zaś kontemplował w myślach widmo Rajzera Kwaka. Pierwszy raz stał atom w atom, słowo w słowo, z kimś tak bogatym, tak dużym, gęstym i ważnym. Odcienie jego widma posiadały niespotykaną częstotliwość i barwę.

- Byłem w galaktyce Tebach – zaczął Windur, zastanawiając się, czy błaganie o darowanie życia zaczyna od właściwej strony. Kwak, wydał się nie słyszeć jego wyznania. Wciąż bawił się jego wyrokiem. Mógł wysłać go w jego kierunku. Zmieszać z jego widmem i go unicestwić. Udał jednak zdziwienie:

- Nie widziałem cię tam po naszej stronie. Czyżbyś razem z Kłamcami próbował ukraść naszą własność? – zmarszczył widmowe brwi, dając mu do zrozumienia, że to nie najlepszy początek usprawiedliwienia. Z drugiej zaś strony, dziwiło go, że widmo Windura nie nosi żadnej skazy. Jest czyste.

- Chodzi o to, że widziałem waszą prymitywną hodowlę.

- Prymitywną, powiadasz – zdumiał się Rajzer, znów dając mu do zrozumienia, że jego sytuacja nie poprawia się ani na jotę.

- Takie odniosłem wrażenie – trwał przy swoim.

- i? – oczekiwał kontynuacji Kwak.

- Myślę, że mógłbym to zrobić lepiej.

Jeszcze nie wybrzmiała ostatnia sylaba słów, kiedy po całej Proxima Centauri, rozległ się szydrczy śmiech Rajzera Kwaka. Echo niosło się po księżycach i planetoidach. Odbijało się pod ciśnieniem atmosfer gwiazd i planet i wracało z powrotem do nich. Potęgując i utwierdzając wysłany sygnał. Ale Windur wiedział co mówi. W każdej plotce jest ziarno prawdy, bez znaczenia, czy jest ona dobra czy zła. A po bitwie pod Tebach plotki były dwie. Pierwsza, to ta, że armie Kłamców, pomimo swej wielkiej liczby i rządu, zostały rozbite i rozgonione na cztery wiatry. Co później okazało się prawdą. Oraz ta, że pomimo zwycięstwa, Kwakowie zlikwidowali hodowlę. Owszem,

istniało niebezpieczeństwo, że hodowla, została przeniesiona w inne miejsce, ale to było to ryzyko, które Windur musiał podjąć przybywając do galaktyki Genesis. Rajzer był szczerze zdziwiony.

- Ty? Chuchro widmowe pierwszego poziomu, chcesz uczyć nasz klan produkcji energii? Nas?! – Początkowo miał dla Windura trochę szacunku wynikłego z odwagi przybycia na Proximę. Teraz jednak myślał, że jest zwyczajnie głupi. Marnował jego czas.

- W przeciągu stu kwarteli jestem w stanie wyprodukować dwadzieścia pięć braketli, tej słodkiej i pożywnej energii jaką widziałem w Tebach – być może ta energia miała jakąś swoją urzędową nazwę ale Windur jej nie znał. Dlatego nazwał ją słodką i pożywną. Tymczasem Rajzer Kwak, nie myślał już o nim jak o głupku, ale jak o belkoczącym w przestworzach braku wiedzy, szaleńcu. Przez 69 kwarteli, czyli tyle ile istniała hodowla, nie udało im się wyprodukować nawet pół braketla. Nowa energia, posiadała fantastyczne właściwości uzdrawiające i lecznicze. Nadawała się do spożycia natychmiast, bez konieczności jej odkwaszenia. Ale Kwakowie nie potrafili utrzymać jej świeżości i szybko stawała się nicością. Koszty hodowli, inwestycja i utrzymanie, były niewspółmiernie wysokie do zysków. Dlatego postanowili ją zamknąć, zamrażając atomy na lepsze czasy.

- Dwadzieścia pięć braketli ... - westchnął Rajzer. I nie wiadomo było czy to z rozpaczy, czy z bezsilności. – żeby uruchomić hodowlę, przygotować środowisko i wystawić ochronę, potrzeba drugie tyle. Masz takie środki?

- Nie mam. Ale wy macie – odparł Windur. Kwak, widmo z czwartego poziomu, dał się wciągnąć w dyskusję nad beznadziejną sprawą. Jedynym wytłumaczeniem tak nielogicznej postawy, była zapowiedź zysków w postaci dwudziestu pięciu braketli uzdrowicielskiej energii. Choć wciąż wydawało się to niemożliwe i niepojęte.

- Musiałbyś nam oddać 50 braketli ... - powiedział na odczepnego, bo było to dwa razy więcej niż zaproponował Windur. Wiedział, że to niemożliwe, ale z drugiej strony Rajzer i dwa inne widma z jego klanu, znały ten przedziwny smak. Byliby wielce zadowoleni, gdyby mogli go spróbować więcej niż raz.

- Zgoda - odpowiedział Windur bez zastanowienia. Gęstość widma Rajzera Kwaka zafalowała gwałtownie. Szybko jednak ukrył wezbrane emocje.

- Zamknąć go! – syknął, w kierunku najemników. Windur nie stawiał oporu, popychany przez silniejsze od niego widma, posłusznie dał się zamknąć w sztucznej czarnej dziurze, w której pole grawitacyjne było tak silne, że przy próbie ucieczki,

groziło rozdarciem widma na połowy i rozdwojeniem jaźni. Windur znów cierpiał. Doszedł nawet do wniosku, że cierpienie jest nieodłączną cechą jego istnienia. Jest wpisane w jego byt i doświadczenie. Nie mniej, był dobrej myśli. Nie został unicestwiony.

-&!&-

- To błąd – rzekł natychmiast Natan Kwak, starszy klanu Kwaków, tuż po tym, jak Rajzer Kwak zreferował mu rozmowę z Windurem.

- Nie śpiesz się bracie z osądami – wtrącił się do rozmowy Ozeasz Kwak – Zbadałem jego widmo. Nie jest dla nas zagrożeniem. Wytwarza dużo pozytywnej, wartościowej energii. Proszę spróbuj – tu podsunął w jego pobliże skompresowany kawałek widma Windura. A dokładnie ten fragment energii z czasu, jaki wytworzył wokół siebie Windur podczas rozmowy z Rajzerem Kwakiem. Windur nawet nie był świadom, kiedy i ile tej energii mu zabrano. Tak działać potrafili tylko Kwakowie. Natan niechętnie zmieszał z częścią własnego widma, otrzymany ładunek energii. Nawet gdyby chciał, nie mógł odmówić. Pochłanianie energii przez widma, było ich najważniejszą potrzebą, instynktem. Zupełnie tak, jakby ktoś nagle kazał mu przestać oddychać.

- I co? – dopytywał Ozeasz. Czekał na opinię starszego rodu.

- Rzeczywiście – przyznał niechętnie – to dobra energia. W niewielkim stopniu, ale podnosi wartość widma. Nie psuje go. Widmo Windura smakowało nadzieją i czymś jeszcze, czego na pierwsze mlaśnięcie językiem, Natan nie potrafił opisać.

- Przypomnij sobie smak energii, pochodzącej od naszych zwierząt – miał na myśli hodowle – Pamiętasz ten smak śmiechu, radości, sukcesu? Ich łzy, niepokój, zmartwienia? Nawet ich strach o własne życie smakował wspaniale. Nic nie musieliśmy odkwaszać. Można było brać i jeść, jeść i brać. Jeść, jeść, jeść. Jak pięknie wtedy wyglądaliśmy? Jak wspaniale się czuliśmy.

Natan milczał.

- Błędem jest to – odezwał się wreszcie – że Ty, Rajzer wszedłeś z nim w głęboką interakcję. Jeśli go nie zabijemy, będzie chciał być taki jak my, bo od dziś wie, jak wyglądają tacy jak my. Zyskał świadomość, której nie miał wcześniej.

- Sami wydaliśmy na niego wyrok – bronił się Rajzer.

- No to trzeba było go wykonać – odburknął szef klanu - Kto to w ogóle jest? Analizowaliście jego widmo?

- Nie ma odpowiednika.
 - Co to znaczy, że nie ma odpowiednika? Sam się narodził, czy ktoś go stworzył?
 - Nie ma na nim żadnej pieczęci. Nie przynależy do żadnego związku. Nie posiada wspomnień spoza teraźniejszości.
 - No ale, skądś się wziął?
 - Trudno jest kontrolować cały Wszechświat. Przecież wiesz.
- Znów zapadła cisza. Niezadowolony Natan, kręcił widmową głową. Nie trawił sytuacji, której nie dawało się logicznie wytłumaczyć, a działania wyjaśnić. W ciszy dwoje z potężnych widm czwartego poziomu, myślało o jednej i tej samej rzeczy. Pięćdziesięciu braketlach, energii pochodzącej od prymitywnych widm i o tym, jak bardzo blefuje, zamknięty przez nich w czarnej dziurze awanturnik.
- Uważam, że powinniśmy spróbować – rzekł Ozeasz.
 - Nie – uciął krótko Natan – Jesteście zaślepieni dawnym smakiem. To my rządzymy we wszechświecie. I nikt nam nie będzie mówił, sugerował, podpowiadał, co mamy robić. A już na pewno nie będzie nim, to nikczemne widmo z pierwszego poziomu. Każda myśl, decyzja pochodząca musi wyłącznie z trzewi naszych widm. Taka jest zasada i to się nie zmieni. Rajzer! – Natan wymienił jego imię, po chwili przerwy. Był to jednocześnie rozkaz.
 - Rozumiem – przytaknął najmłodszy z klanu najpotężniejszych widm biorąc ponownie do widmowych rąk wyrok anihilacji.

-&!&-

- Przykro mi – to były pierwsze słowa, jakie usłyszał Windur, po otwarciu czarnej dziury. Rajzer Kwak tkwił przy wyjściu z białym pakunkiem energii omotanym pryzmą niebiesko-białego widma. Wyglądało to jak wyrok zawinięty w całun. Nie tego oczekiwał osłabiony polem grawitacyjnym Windur. Prawdę mówiąc, był pewien, że klan Kwaków przystanie na jego propozycję. Tymczasem, miał zostać unicestwiony. Nie chciał, bo zbyt wiele trudu poświęcił na budowę własnego czystego Widma, ale zaczynał żałować, że nie został na zawsze Kłamcą. W asyście najemników, przenieśli się za Proxima Centauri. W pobliże gwiazdy zwanej Lagota. Tu Rajzer Kwak odprawił zbrojną obstawę. Podniósł pakunek na wysokość najbardziej wrażliwej części widma Windura. Zdawało się, że już wyjął zawleczkę i odlicza mikrokwartelele do wybuchu ładunku. Wydawało się, że trwa to nieskończenie długo.

- Weź to – powiedział nagle Rajzer Kwak i przesunął paczkę z wyrokiem w kierunku Windura. Czyżby chciał, aby sam popełnił honorowe unicestwienie? Byłaby to niewyobrażalna perfidia. Takich rzeczy nie widział nawet u Kłamców. Tymczasem Rajzer Kwak wykrzywił swoje widmo w pobłażliwym uśmiechu i nie spuszczać oka z Windura oddalał się od niego. Coraz dalej i dalej. Windur ostrożnie rozrzedził energię zasłaniającą wnętrze pakunku. Ujrzał w nim dwa atomy. Dwa pojedyncze atomy prymitywnych widm. Tak małe jak on sam na początku swoich narodzin. Gwałtownie odwrócił się w kierunku Proxima Centauri, ale nie dostrzegł już tam Rajzera Kwaka. W rękach trzymał skarb.

-&!&-

Wbrew rozkazowi wydanemu przez brata, Rajzer Kwak okazał się wielkodusznym filantropem. Miał ku temu predyspozycje, ponieważ posiadał, znacznie bardziej rozbudowany horyzont zdarzeń. Natan nazywał to inaczej – brakiem odpowiedzialności. Najmłodszy z klanu, szanował bowiem procedury, ale nie akceptował schematów. Uważał, że nie istnieje coś takiego jak jedyne słuszne rozwiązanie. Każde ma bowiem, jakąś alternatywę. Zawsze. Czy się tego chce, czy nie. Rajzer, owszem okazał się filantropem, ale z ograniczonym zaufaniem. Dał Windurowi szansę, taką o jaką prosił. Nie zamierzał jednak tracić kontroli nad podarunkiem. Odstępstwo od reguły miało swoje granice. W ślad za Windurem, jak gończe psy, wysłał sześciu wybranych najemników. Gdyby sprawy przybrały zły obrót, ich zadaniem było zakończyć projekt. Położyć kres marzace. Alternatywę opisać jako anomalię i wprasować w procedurę. Wyprostować koryto rzeki.

Rajzer nie docenił jednak Windura. Ten zaś wiedział, że jeśli dostanie to, po co przyszedł, to nie będzie już ani miejsca ani czasu na improwizację. Wdrożył swoją własną procedurę. Ukrył skarb w najgłębszych zakamarkach własnego widma i ruszył w drogę. Gnał, czym prędzej na planetę Stellar C, w mgławicy Nebularing. I nie było w tym żadnego przypadku. Miejsce to wybrał znacznie wcześniej, zanim złożył wizytę na Proxima Centauri. Mgławica posiadała unikalną strukturę, której cechą główną, był ... brak uporządkowanej struktury. Nie można było przejść przez nią opisaną drogą, bowiem taka, dla podróżnika w danym czasie, w konkretnej konfiguracji, istniała tylko raz. Potem gwiazdy mieszały się między sobą i nie wracały na poprzednio zajmowane miejsca. Nie można było wyznaczyć w niej kierunku, ponieważ nie istniał stały punkt odniesienia. Nebularing był przekleństwem podróżników. Kto nie musiał,

nie wchodził w jego granice. Windur sam wielokrotnie gubił się w ringu. Mozolnie jednak poprawiał się i poznawał jego tajemnice. Z czasem nauczył się przemykać jego ścieżkami. Z rozmysłem wprowadził śledzących go najemników, pomiędzy wirujące pierścienie. Znali oni prawdopodobnie skalę ryzyka, ale nie mogli nie wykonać rozkazu Rajzera Kwaka. I stało się tak jak przewidział. Zgubił pościg. Widział jak bardzo się starali dotrzymać mu kroku, ale jeden po drugim odpadali w zakrętach Mglawicy, aż nie pozostał ani jeden. Mało tego, Windur był przekonany, że przypadli w jej czeluściach. A jeśli któryś z nich, trafi kiedykolwiek na zewnątrz ringu, to będzie to zupełny przypadek i zrządzenie losu. Stellar C, a dokładniej jeden z księżyców Stellar, idealnie nadawał się na kryjówkę w kryjówce. Otoczony koroną strzelistych skał, mocno związany polem grawitacyjnym gwiazdy, nie obracał się wokół własnej osi. Jego część odśrodkowa względem centrum Mglawicy, wystawiona była na publiczny widok, ale druga schowana w cieniu planety, była dobrze ukryta. To tu, zamierzał rozpocząć swój projekt Windur. Projekt polegający na ciągłym, wręcz produkcyjnym wytwarzaniu wysokiej jakości energii. Najbardziej niepewny był pierwszych kroków. Wszak nigdy nie prowadził hodowli. Nikim się nie opiekował, nie wychowywał ani nie chronił od złego. Nigdy wcześniej nie tworzył w takiej skali. Miał jednakże, jeden ważny punkt, który musiał zrealizować perfekcyjnie z założenia. Uwolniwszy dwa prymitywne widma, powiedział im, że od teraz jest to ich „dom”. Mogą robić w nim co chcą, pod warunkiem, że nie będą opuszczać „domu” oraz, że nie będą korzystały z okazji zdobycia energii z innych źródeł poza nimi samymi. Odrzucił w ten sposób teorię i praktykę Kwaków. Energię potrzebną do życia widma miały, nie zdobywać, ale pobierać od siebie, na zasadzie dobrowolnej i sprawiedliwej wymiany.

Mijały kolejne kwartele, a po nich następne. Widma, zachowując przykazanie Windura wytwarzały coraz więcej energii. Łatwość, z jaką im to przychodziło była zdumiewająca. W interakcjach między sobą, obdzielały się nią wzajemnie i dobrowolnie nie zwracając zupełnie na to uwagi. Energia nie miała dla nich żadnej wartości! Był to niewątpliwie, jeden jedyny przypadek znany Windurowi. Prawdopodobnie jedyny w całym Wszechświecie. Wzajemne obdarowywanie się energią, nie powodowało uszczerbku na ich kondycji. Wręcz przeciwnie, im interakcja była intensywniejsza, tym bardziej rosła ich gęstość. Były okazami zdrowia. A smak? Zanim Windur uraczył podniebienie, pojawił się zapach. Jakże różny od nienawiści Kłamców i od resztek, jakie znajdował głodując wokół Wielkiej Magistrali. Fantastyczny, spajający ale nie klejący widma. Jednocześnie pożywny, ale nie ciężki.

Można się było nim upajać do utraty zmysłów. Windur karmił swoje widmo, umiarkowanymi ilościami wytworzonej energii, pozwalając im na rozrost własnych widm. Większe widma, oznaczały więcej interakcji i jeszcze więcej energii. Wkrótce stanął przed tym samym problem, przed którym stanął klan Kwaków. Jego prymitywne zwierzęta wytwarzały tak dużo energii, że Windur nie nadążył mieszać jej z własnym widmem. A trzeba wiedzieć, że mieszanie nie może odbywać się na zasadzie obżarstwa. Struktura widma nadrzędnego, musiała przetworzyć dostarczoną energię do własnych potrzeb i możliwości. I potrzebowała na to czasu. Windur, aż za dobrze wiedział, czym grozi przedawkowanie obcej energii. Ku jego rozpacz, niez mieszana energia nie dała się w żaden sposób magazynować i po prostu bezpowrotnie przepadała. Był przekonany, że sobie z tym poradzi. Jako budulca chciał użyć nadziei i wiary. Cech, które wielokrotnie pozwalały mu się odbudować i osiągać zamierzone cele. Czasem wydawałoby się nawet w beznadziejnych sytuacjach. Problem jednak tkwił w tym, że widma zostały stworzone przez Kwaków na ich wzór i podobiznę. A ci nie znali ani nadziei ani wiary. Znali jedynie potrzeby. Działanie. Reakcję i skutek działania. Umie li wyliczyć stosunek zysków energii i strat jakie potrzebne były do osiągnięcia zysków. Jeśli bilans nie był dodatni porzucali projekt. Marnotrawstwo energii było najcięższym grzechem, bytów we Wszechświecie. Czekanie na sukces w oparciu o prognozy lub wyimaginowane przesłanki, nie mieściło się w ich kanonie postrzegania świata. Taki świat nie był wart istnienia. Był antyświatem i anarchią. Windur nie potrafił nauczyć swoich dwóch widm ani nadziei ani wiary. Nie miał wiedzy ani możliwości, by zmienić strukturę ich atomów. Błąd popełniony przez Kwaków przy ich tworzeniu. A właściwie brak błędu, z ich punktu widzenia, objawił swe konsekwencje w postaci niemożności magazynowania ich energii. Widma nie posiadały żadnego doświadczenia, poza doświadczeniem samych siebie i obecności Windura, który był dla nich jak ojciec. Aby nadać trwałości ich energii, powinien zacząć je krzywdzić. Umiarkowanie dawkowana krzywda, nie spersonalizowana, ale jako zrządzenie losu, nie rodzi złości i nie obraca się w zemstę. Budzi zaś nadzieję na jego poprawę i wiarę w lepsze jutro. Windur w rozterce, coraz częściej zostawiał widma same i wychodził poza Nebularing. Szukał rozwiązania trudnej sytuacji. Dopuszczenie krzywdy, miało swoje uzasadnienie. Pewnym minusem była zmiana struktury i smaku widm. Wiedział, że nie będzie już on nigdy taki sam. Zmieni go doświadczenie. Ale po krzywdzie, zawsze nadchodzi nadzieja. Ta zaś buduje trwałość wspomnień, stwarza pamięć wiecznie żywą. Wiąże w tych

aspektach połacie energii, które uzyskują ciągłość w czasie. A taką energię można już magazynować, ponieważ ona namacalnie istnieje. Nie znika.

Rozdział IV. Mrok – wygnanie z raju

Mrok od dłuższego czasu wałęsał się po różnych zakątkach i wymiarach Wszechświata. Nie miał sprecyzowanego celu. Jego głównym zajęciem było zdobywanie energii. Szukanie nowych źródeł zaopatrzenia. Najlepiej zaś takich, do których miałby dostęp tylko i wyłącznie on. I nikt więcej. Marzył o swojej tajnej spiżarni, gdzie jak na wystawie poukładane byłyby opisane zbiory, smaki i gęstości. Mrok nie miał żadnych zobowiązań. Nikomu nie podlegał. Nikogo nie musiał słuchać. Czasem przystawał do interesu z innymi Kłamcami. Z własnej woli. Takie spółki kończyły się przeważnie ogólną bijatyką. Ponieważ nikt nie potrafił dotrzymać wcześniej danego słowa, co do podziału łupów. Każdy chciał więcej. Uważał, że należy mu się więcej lub że zasługuje na więcej.

W beztroskich chwilach sytości, oplatał widmo wokół komet, pędzących przez galaktyki i rozważał filozoficzne teorie istnienia i sensu wszystkiego. Próbował przypomnieć sobie skąd się wziął, gdzie się narodził. Czy został zrodzony, czy został stworzony? I przez kogo? A może był od zawsze? Od tak zawsze jak Wszechświat, jako jego konieczna i nieodłączna część. Zuelba twierdził, że kiedyś byli równi Kwakom, że istniał tylko jeden klan. Nie było podziału, na my i oni. Ale potem to się popsuło. Poszło o władzę. Ten, kto miał większą władzę, miał prawo do pochłaniania większej ilości energii. I mógł mówić innym, co mają robić. Wielu braciom się to nie podobało. Być może spór dałoby się jakoś rozwiązać gdyby nie, przeklęty Natan Kwak, który uzyskał zdolność zabijania innych bytów i przejmowania ich energii. Legenda mówi, że nad czwartym poziomem widm istnieje piąty poziom. Jeszcze potężniejszy. I to dzięki niemu, Natan uzyskał tę zdolność. Posiadając tak ważny argument w ręce, próbował wymóc lojalność na pozostałych braciach. Wybuchł bunt. W procesie oddzielania dobrych od złych, część niezadowolonych współbraci oskarżył o brak posłuszeństwa i nazwał Kłamcami. Postrącał w otchłań i ograbił z energii. Stali się nędznymi żebrakami, postaciami widmowymi z pierwszego poziomu. I tylko dzięki własnej zaradności tacy jak Zuelba i On, odbudowali swoje widma i podnieśli swoją masę do poziomu drugiego. Nie było to jednak łatwe, bo Natan Kwak, nie zamierzał puścić w niepamięć braku posłuszeństwa. Pościągał z różnych części Wszechświata

nieznane widma i uczynił je swoimi strażnikami. Wprowadzając jednocześnie ich gęstość na trzeci poziom. Taki, który pozwalał im bić Kłamców, zdobywać ich energię i uprzykrzać im życie.

Mrok ogarnięty filozoficzną chęcią rozwikłania zagadki funkcjonowania Wszechświata dotarł w roztargnieniu w okolice mgławicy w kształcie pierścienia. Trochę z ciekawości, trochę z przekory, a trochę z nudów wszedł pomiędzy gwiazdy jak łowca mający nadzieję na niespodziewaną okazję wypłoszenia zaspanej ofiary. A potem zaplątał się w ring i nie mógł z niego wyjść. Zgubił drogę i nie potrafił jej odnaleźć. Zamiast zachować trzeźwy umysł, wpadł w panikę. Miotał się bezładnie pomiędzy układami, planetami, pierścieniami i był coraz bardziej zrozpaczony. Zatracił zdolność logicznej oceny sytuacji. Zaczął rozpoznawać miejsca, w których był zaledwie chwilę temu. Kręcił się w kółko. Ring zamknął go w pułapce. Nie mógł się z tym pogodzić, ale też nic nie mógł na to poradzić. Powoli wytracał energię. Z konieczności wygłuszał emocje. Upływający przeraźliwie wolno czas, był wprost proporcjonalny do rosnącej depresji. Mrok marniał w oczach. Aby się nie rozpaść, „zlizywał” z mokrych skał, resztki zatęchłej i zbutwiałej energii. Takiej, której nawet najędźniejszy z Kłamców nie wzięłby nigdy do „pyska”, choćby nie wiem jak był głodny. Po wielu kwartelach zapaści, kiedy był już na granicy utraty właściwości widma z poziomu drugiego i upadku na najniższy poziom, zapaliło się dla niego światełko w tunelu. Z początku wziął to za omam. Jakąś nierealną zwidę, halucynację, ale rzecz działa się naprawdę. Pomiedzy pierścieniami ringu Nebula, przeciskało się „żywe” widmo. Obraz był tak zaskakujący, że Mrok dopiero po dłuższej chwili oderwał od skały swoje cherlawe widmo i powoli ruszył jego śladem. Wybudziły się w nim stare mechanizmy łowcy, a i duch stał się bardziej ochoczy. Kilka jardeli przed sobą miał widmo, którego za żadną cenę nie mógł zgubić. To była jego szansa na ocalenie. Nawet strach przed rozszarpaniem, nie mógł zawrócić go z drogi. Wiele wysiłku kosztowało go dotrzymanie mu kroku. Nagroda przerosła jego najśmielsze oczekiwania. Na jednym z księżyców, schowanych w cieniu niedużej planety, pośród strzelistych skalnych, grani znajdowała się hodowlana farma. Mrok bezbłędnie rozpoznał zapach prymitywnych bytów. Takich samych, jakie widział kiedyś w galaktyce Tebach. Z tym, że tutaj, były tylko dwa. „To początek nowej hodowli Kwaków” – ocenił w myślach. Doskonale ukrytej. Mrok doznawał teraz nowego rodzaju cierpienia. Wspaniałe połączenie świeżo wyhodowanej, pachnącej, odżywczej energii były na wyciągnięcie ręki, ale mógł z niej skorzystać. Mógł się tylko jej

przyglądać. Widmo z poziomu trzeciego było jej strażnikiem. Schowany w pasie planetoid Mrok całymi kwartelami, obserwował niecodzienne widowisko tworzenia, pochłaniania, mieszania i od nowa tworzenia kolejnych porcji energii. Z zazdrością i nienawiścią jednocześnie dławił się widokiem strażnika, który beztrudno ją pobierał, wplatał we własne widmo i konsumował. Kawałek po kawałeczku. Morze zazdrości trzymało przy życiu wycieńczonego Kłamcę. Przyszedł jednak czas, kiedy strażnik ruszył w labirynt Nebularingu. Wtedy ruszył z miejsca również Mrok. Ale nie po to, by zaspokoić głód. Ruszył za strażnikiem, który nieświadomy intruza zaczął wyprowadzać go z pułapki. Ku przestrzeniom Wszechświata.

-&!&-

- Stój! To jest Ring – wyszeptał Zuelba – Nie wiesz, że do ringu nie należy wchodzić? Tam ... - szukał właściwego słowa - ... można się zgubić na wieki.

Mrok uśmiechnął się w myślach. Zabrzmiało to prawie tak samo jak: „tam straszy”. Co w „ustach” Zuelby zasługiwało na miano dobrze ciętej kpiny.

- Wiem – potwierdził Mrok – aż za dobrze wiem.

- To po co mnie tu przywiodłeś?

- Cierpliwości – odparł, i zaraz dodał – lepiej się schowajmy.

Zuelba był wyraźnie zawiedziony. Nie po to dał się namówić na tak daleką wyprawę, żeby teraz się chować. – Nie żartuję – powiedział całkiem serio Mrok. I dopiero wtedy jego kompan, aczkolwiek niechętnie, wycofał się w bezpieczne miejsce. Cierpliwie czekali cztery i pół kwartela, obserwując na zmianę wskazane przez Kłamcę miejsce w Ringu. I doczekali się.

- Patrz – Mrok przywołał Zuelbę wskazując miejsce. Przez grupę gwiazd od wewnątrz ringu na zewnątrz, przeciskało się widmo. Był z poziomu trzeciego. Potężny był z aspiracjami na kolejny wyższy poziom. Strukturalnie był na to gotów. Kłamcy spojrzeli po sobie. Zuelba z jakby nieco większym szacunkiem.

- Co robimy? – szepnął.

- Czekamy – Mrok zrobił przerwę – Czekamy, aż odejdzie.

Wkrótce widmo z poziomu prawie czwartego odeszło poza mgławicę. Mrok skinął na Zuelbę. Gnali teraz na załamanie karku, pomiędzy planetami Ringu. W jego głębię. Głową w dół. Prawie tak jak na zatracenie. Zuelba w tym szalonym pędzie za ogon trzymał Mroka, by nie zgubić drogi. Z jednej strony przerażony był, że dał się namówić na tak niepewną akcję. Z drugiej zaś, pchała go do przodu chęć poznania

czegoś nowego i jak dotąd nieznanego. Ring kłębił się gwiazdami. A gwiazdy te kłębiły się za nimi zacierając drogę. Był nawet moment, że Zuelba myślał, iż Mrok oszalał i ciągnie go w otchłań galaktycznego wulkanu. Na samobójstwo ich dwojga i skończenie świata. Zawily Ring wydawał się nie mieć końca. Trwał i trwał. Wciąż tak samo podobny i jednakowy. „Szybciej, szybciej, szybciej” – przynaglał go współbrat Kłamca, który idealnie jak po sznurku szedł do upatrzonego miejsca.

Aż nagle, zaplątanie pierścieni i gwiazd skończyło się. Wpadli na galaktyczną polanę. Zuelba odetchnął pełnią widma. Rozejrzał się wokół. W pierwszej chwili nic nie dostrzegł.

- Tam – Mrok, wskazał widmowym palcem kierunek, w którym powinien patrzeć. Zuelba wydał usta, nastroszył brwi i powoli ruszył do wskazanego miejsca. Zaskoczony, przyjemnie przymrużył widmowe oczy. Dostrzegł dwa prymitywne byty, ukryte na księżycu, obiegającym skalistą planetę. Takie same, na jakie miał kiedyś chrapkę w galaktyce Tebach. Widma baraszkowały beztróska opodal.

- Mówiłem, żebyś mi zaufał? – Powiedział Mrok stając obok. Był zadowolony z niespodzianki, jaką udało mu się wykonać, co Zuelba potwierdził radosnym machnięciem rąk. Obaj zaczęli zsuwać się w kierunku hodowlanych widm. Sytuacja była niecodzienna. Oba prymitywne widma, po chwili niepewności przyjęły ich, jako swoich. Tańczyły wokół nich i zapraszały do zabawy. Nie znały absolutnie znaczenia wystawionych do rąbania kłów obu Kłamców. Ci zaś upajali się ich naiwnością. Pozwalali się dotykać, muskać i pocierać. Głaskali je z dziką przyjemnością tak jak wąż, który oplata, pod nieobecność orla jego pisklęta w gnieździe. Pierwszy zadość swej lubieżności uczynił Zuelba. Skubnął garścią strukturę prymitywnego widma. Zawartość zmieszał ze swoim łanem. Błoga przyjemność rozlała się szeroką strugą w jego jestestwie. Na to czekał i tego oczekiwał. Spełniło się jego marzenie. Pochłaniał energię, dostępną tylko dla Kwaków. Słodką, pożywną o niespotykanym zapachu i smaku. Czerpnął drugą garść. Zachłysnął się ilością. Odurzony jak w narkotycznym śnie rozbudził rządze pożerania. Chwycił prymitywne widmo, które wciąż nie zdawało sobie sprawy, z kim ma do czynienia i zaczął je skubać z energii do żywego kręgosłupa. Widmo, nie protestowało. Nie znało skali zagrożenia. Pozwalało się ranić i okradać, bowiem oczekiwało, że wszystko co zostało mu zabrane, będzie w tej samej ilości oddane. Podobnie czynił Mrok. Obaj Kłamcy, na wyścigi, bezlitośnie kaleczyli niewinne widma, nie zwracając uwagi na ich cierpienia. Obżarty do granic pojemności Zuelba, czekał aż swego dzieła zniszczenia dokończy Mrok. To był najszczęśliwszy

dzień w jego życiu. Był syty i spełniony. Nagle wpadł mu do głowy iście szatański pomysł. Mogli zabić, oba widma, bo nie podlegały regułom, żadnego poziomu. On jednak oderwał od swojej najczarniejszej czerni, część własnego ja i posmarował nim, jak ekstramentami, oba ledwie żywe byty. Skaził je, tak aby nigdy już nie mogły wrócić do pierwotnej świetności. Nasyciwszy zdobyczną energią struktury swoich własnych widm, zaspokoiwszy rządze gwałtu, natychmiast zaczęli uciekać do Wszechświata. Prowadził Mrok, który znał tu każdy zakamarek. Uciekli.

-&!&-

Choć Mrok nalegał, by ulotnić się jak najszybciej i jak najdalej z miejsca przestępstwa, Zuelba nie chciał odejść nie zaspokoiwszy potrzeby czerpania zadowolenia z cudzej krzywdy. Postanowił poczekać na powrót strażnika. Do pełni satysfakcji brakowało mu jego bólu. Spoidła nasycenia. Tym bardziej, że widmo to było, przynajmniej dwa razy silniejsze od niego. I zadość stało się jego oczekiwaniu. Windur po dotarciu na polanę pośród skał, wpadł w straszną rozpacz. Jego pokaleczone, obdarte do rdzenia istnienia prymitywne widma ledwie żyły. Skatowane i zmasakrowane. Widok był żałosny. Zostały bezpowrotnie zepsute. Były zakwaszone. Wcześniej nie znały pojęcia strachu, teraz był on nieodłącznym czynnikiem, determinującym ich zachowanie. Runął energetyczny raj, na który tak długo pracował i który tak długo skrycie pielęgnował, który przyniósł mu tyle korzyści. Kiedy opuściła go rozpacz i przetrawił gorycz porażki, zawył tak głośno, aż zatrzęsł się cały Ring i zawaliły się wszystkie wyjścia, ścieżki i przesmyki. Ruszył na jego przeczesywanie w nadziei dopadnięcia sprawców. Był jak legion zemsty. Wiedział, że to sprawa Kłamców. Znał smak kwasu, którym zostały naznaczone. Znał, bo kiedyś sam go spożywał. Szedł przez Ring jak taran. Daremnie. Kłamcy byli już poza nim. Wrócił zatem, na gwiazdną polanę. Tam gdzie był księżyc Stellar C. Usiadł i gorzko zapłakał. Tymczasem Mrok i Zuelba, jak im się wydawało, z prędkością komet gnali przez Wszechświat głosząc wszem i wobec, że zniszczyli magazyn Kwaków. Zależało im na tym, by każdy mógł usłyszeć, jaki odnieśli sukces. Rozgorączkowany Zuelba, oczami wyobraźni już zbierał armie Kłamców. Tym razem, by uderzyć bezpośrednio na Proxima Centauri i odzyskać tron władzy.

Rozdział V. Potop

Świat Windura skończył się. Nie potrafił jednak odejść, nie potrafił porzucić pokaleczonych prymitywnych widm. Nie potrafił zapomnieć, że choć to tylko inkubatory energii, to jednak na nich zbudował swoją strukturalną gęstość. To one były źródłem jego zadowolenia. Dbał o nie, żył się z nimi. Chronił je, aż do feralnego momentu, kiedy to jego kryjówkę odkryli i najechali Kłamcy. Było mu bardzo trudno udźwignąć taki cios. Żeby jednak nie trwonić energii, nad sprawami które przeminęły i rzeczami, których nie da się cofnąć, poszedł otworzyć zawałone przejście w ringu. Miał zamiar wynieść się stąd jak najdalej. Jak najszybciej zapomnieć o tym co zaszło. Dopiero w ostatniej chwili, nękany sumieniem, zdecydował że wróci, po swoje widma i zabierze je ze sobą. Ostatnią iskrą nadziei, liczył na ich odbudowę i oczyszczenie struktury.

Odblokowanie przejścia zabrało mu sporo czasu. Nie spieszył się. Nie miał po co, ani dokąd. Kiedy wrócił na polanę, człapiąc wirtualnymi stopami, jedna za drugą, czekała tam na niego nowa niespodzianka. W otoczeniu najemników, pośrodku żalobnych gwiazd, stał ... Natan Kwak i jego brat, Rajzer. Windur nie miał pojęcia, kiedy i jak się tu dostali. Wydało mu się, że niektóre widma krwawego orszaku, rozpoznaje. Jeden z nich na pewno, był tym, który ścigał go dawno temu na polecenie Rajzera. A potem dał się zgubić w labiryncie. Windur, z powodu tego, co się wydarzyło, zatracił czujność i po prostu wpadł na nich. Oni zaś nie byli specjalnie zaskoczeni. Wszak kosmos poza ringiem, za sprawą Kłamców huczał w pełnej skali, że wydarzyło się coś, niespodziewanie niespotykanego. Kwakowie poskładali plotki z przesłankami i ruszyli natychmiast, by potwierdzić plotki. Teraz patrzyli na niego tak, jak patrzy sędziowskie konsylium na lekarza, któremu nie powiodła się operacja. Na taką sytuację Windur nie posiadał żadnej procedury.

Pewnym pocieszeniem dla niego było spostrzeżenie, że Natan Kwak, źle ukrył zdziwienie na jego widok. Była to sekunda minikwartela. Nie spodziewał się bowiem, że Windur posiada objętość widma niewiele mniejszą od niego samego. Błyskawicznie analizował warianty, jak w tak krótkim czasie mógł uzyskać taki efekt. Patrząc zaś na wycieńczone prymitywne byty, nie bardzo mógł dać wiarę, że to dzięki nim uzyskał tak znaczny awans. Nawet jeśli, wcześniej, obdarli je ze skóry Kłamcy. Natan Kwak o nic jednak nie zapytał. Posiadał berło władzy. I nawet czasem jak czegoś nie wiedział, to wcale nie znaczyło, że musiał o to pytać, by wydać wyrok. W zasadzie wydawał się być zadowolony, że to Kłamcy przyczynili się do zakończenia hodowli Windura.

Gdyby nie oni, nie wiedziałby nawet, że taka istnieje. Najbardziej bolało go, że ucierpiał na tym jego wizerunek. Niestety, przyłożył do tego rękę, jego nierozważny, lekkomyślny i naiwny brat Rajzer. Ale to już mu wybaczył. Teraz zaś nadszedł ten moment, w którym należało przywrócić właściwą kolej rzeczy. I właśnie po to był on, Natan Kwak. Pewne rzeczy mogły się dziać, bez jego wiedzy i poza nim. Mogły to być rzeczy akceptowalne lub złe. Mnóstwo rzeczy, rodziło się każdego kwartela i ginęło następnego, bez żadnych konsekwencji dla Klanu. Nie musiał o tym wiedzieć. Czasem jednak rzeczy, łączyły się w stada myśli i powstawały projekty, które ktoś próbował realizować bez ich zgody. Ostatecznie jednak informacja o tym trafiała tam gdzie powinna. Do niego.

Natan Kwak uporczywie wpatrywał się w Windura wiążąc na sobie całą jego uwagę. Był w bardzo komfortowej sytuacji. Mógł wydać każdy rozkaz, jaki tylko uznaliby za właściwy. I rozkaz ten, bez wątpienia zostałby urzeczywistniony. Mierziło go jedynie, że Windur nie skamlał o litość. Natan Kwak zamachnął częścią widma jak płaszczem.

- Wszystko niszczyć! Do gołej skały – wycedził. Po czym wskazał włócznią przeznaczenia na polanę. Ani razu nie spuścił w tym czasie wzroku z Windura. Czekał jego reakcji. Chciał jego protestu, prośby, błagania. Czegoś, co dałoby mu satysfakcję z należnego sukcesu. Z powrotu do własności. Pragnął wewnętrznego zaspokojenia tytułem sprawiedliwości dziejowej. Ale Windur zdążył już założyć maskę zobojętnienia. Natan zaś uznał, że największą karą, jaką może mu wymierzyć, to zostawić go przy życiu. Na świadectwo cierpienia i przestrozę dla innych.

Najemnicy, jak buldożery zaczęli borować świdrami zniszczenia inkubator życia. Obracali wszystko w pył i niebyt z precyzją mikrobraketla. Kwakowie byli wymagającym Klanem. Najmowali na sługi tylko tych, którzy zgadzali się podpisać cyrograf na wieczność. Posłusznych, dokładnych i rzetelnych. Świadomych tego na co się decydują. Na korzyści i ograniczenia. Obydwa ocalałe widma, zostały bezdusznie przemielone przez walec zagłady.

Windur nie reagował. Wszak Natan kwak niszczył swoją własność. Miał do niej pełne prawo. Rozumiał to i nie protestował. Przyjął do wiadomości, że coś skończyło się bezpowrotnie.

Najemnicy, dokończywszy dzieła, zajęli na powrót pozycje wyjściowe.

- Szkoda, że ci się nie udało ... - szepnął Rajzer Kwak, kiedy odchodzili z pogorzeliiska.

W ten oto sposób, Kłamcy i klan Kwaków, w niezamierzony wspólnie sposób, każdy z innych powodów, zniszczyli projekt Windura.

Kiedy odeszli, zebrał garść zgliszczy. Popiołu, gliny, krzemu. Znów płakał. Łzy kropla za kroplą kapały w otwartą jego dłoń. Popiół mieszał się ze łzami. Ostatni raz popatrzył na Stellar C. Na pierścienie labiryntu. Zamknął dłoń. Schował resztki Ziemi Obiecanej za widmową pazuchę. Zastanawiał się, czy gdzieś może być tak daleko, żeby tam odejść i żeby nikt go nie znalazł.

Rozdział VI. Bicz Boży

Kefa zasadził się w miejscu tuż za zakrętem drogi. Tam gdzie góra wchodziła w przewyższenie. Znalazł sobie płaski kawałek ziemi pomiędzy drzewami sadu oliwnego. Był to fragment ścieżki, prowadzącej z góry sadu w dół, ku drodze. Z tego miejsca widział doskonale, kto wychodzi zza zakrętu, sam pozostając w ukryciu. Oparł plecy o pień drzewa, nogę o wystający korzeń. Sad nie był młody, zatem dawał dużo dobrego cienia. Siedział cicho długie minuty, z przymrużonymi oczyma. Od czasu do czasu uzupełniał płyny w postaci wody. Cykady na zewnątrz udawały spokój. Było zbyt gorąco na koncert.

Pierwszy drogą przeszedł człowiek z plemienia Telawów. Szedł w kierunku Dzerulasem i niemiłosiernie okładał batem obciążonego ponad siły osła. Zwierzak niósł osobisty dobytek kupca, oraz staranie upakowane bele materiału na okazję święta Chasap. Wyzwolenia Wigomerów z niewoli Egipskiej. Objuczone ponad siły zwierze, idąc noga za nogą, protestowało przystając co chwila. Ewidentnie domagało się postoju i wody, której Telaw nie miał, nie potrafił lub nie miał zamiaru zapewnić. Wymagał jednak ciąglego parcia naprzód, do celu. Do Dzerulasem. Po nim przeszły dwie rozgadane kobiety, które były tak zajęte sobą, że nawet jakby przed nimi przebiegł lew, to by go nie zauważyły. Najbystrzejszy okazał się młody chłopak, który samotnie maszerował pod górę. Tylko on zauważył Kefę siedzącego na ścieżce w sadzie. Bez słowa zmierzyl się ze sobą wzrokiem. A że nie mieli ze sobą żadnego interesu, młodzieniec wycofał się na środek drogi, po czym poszedł we wcześniej obranym kierunku.

Po długich godzinach oczekiwania na horyzoncie zakrętu całego świata, ukazał się wreszcie Suda. Szedł ociężały, syty. Tak jakby ciążył mu pod górę krok każdy. Kefa

obserwował go ze swej kryjówki i nie krył swego obrzydzenia. Odczekał dwanaście kroków i wypadł na drogę. Stał naprzeciw zaskoczonych Sudy.

- Gdzie jest Mistrz!?! – wydarł się z całych trzewi swoich. Tak jakby, ktoś ukradł mu najcenniejszy od dziecka pielęgnowany skarb. Nie czekając na odpowiedź, złapał Sude za płaszcz i zaczął nim potrząsać jak młodym oliwnym drzewkiem. Kefa był silnym człowiekiem. Dwa razy większym niż Suda. Jeśliby chciał mógłby powalić go jednym ciosem.

- Gdzie jest Mistrz!?! – Wykrzyczał ponownie. Szarpał Sude jak kukłę, starając się wydobyć najważniejszą informację. Ale Suda nie miał zamiaru się poddać.

- Zostaw mnie! – Bronił się. Krzyczał przy tym głośno na ratunek, wszem i wobec każdemu innemu, kto mógłby usłyszeć jego wołanie o pomoc. Leżał już jednak przyparty plecami do drogi, kolanem i rękami Kefy.

- Gdzie jest Nauczyciel, ty parszywy zdrajco! – Prawa pięść Kefy, jak młot cyklopa tłukła po rozpaczliwej gardzie zdrajcy, starając się dosięgnąć jego twarzy. Raz. Dwa. A za trzecią próbą, rozbiła jego nos. I połała się zła krew. Jedyna w swoim rodzaju, unikalna i nie do powtórzenia w skali następnych pokoleń.

-&!&-

To, co wydarzyło się w Dzerulasem, przed świątynią Najwyższego Boga, na wzgórzu Moria, postawiło na nogi całe miasto. Nikt, ale to dosłownie nikt, kogo by nie spotkali i nie zagadnęli, nie mówił o niczym innym, tylko o tym, co zrobił Joshua na świątynnym dziedzińcu. Poranek nie zapowiadał katastrofy. Wręcz przeciwnie. Zanosilo się na piękny dzień. Do miasta, ze wszystkich zakątków kraju, ściągalo na święto Chasap, coraz więcej pielgrzymów. Pozdrawiali się wzajemnie, informowali o wolnych miejscach na nocleg. Starzy, dawno nie widziani przyjaciele, zapraszani byli na wieczorne biesiady. Nastroje panowały radosne. I wtedy, nie wiedzieć czemu, Joshua zmienił plan. Postanowił, że pójda do świątyni. On, Kefa i Andrzej. Na dziedzińcu, jak zwykle przy okazji tak wielkiego święta, panował nieopisany tłok. Sprzedawcy ofiarnych zwierząt, pośród których przeważało ptactwo oraz kilkumiesięczne jagnięta i kozłeta, zachwalali swój towar, nie szczędząc pochwał. Pielgrzymi z prowincji, zależnie od intencji z jaką przyszli, pragnęli kupić okazale, ale nie tracąc wielkich funduszy. Tuż za nimi stała lichwa. Ci wymieniali rzymskie monety lub małowartościowe galilejskie na tzw. stary pieniądz, srebro i złoto lub brali

pod zastaw. Targ trwał w najlepsze. Między nimi swój skrawek interesu prowadzili ci, którzy chcieli napoić i nakarmić strudzonych wędrowców oraz ci, którzy recytowali Księgi na wrywki, budząc ogólny podziw i aplauz. Najmniej przestrzeni zabierali żebracy, chromi oraz chorzy proszący o pomoc i jałmużnę. Jeśli dodać do tego czekających na okazję zwykłych rzeźmieszków, patrole setnika i zwykłych ciekawych wszystkiego chłystków, ludzki tygiel był wszystkim tym, czym być potrafił w swoim zorganizowanym nieładzie. Brakowało tylko jednego. Powagi i miejsca dla Stwórcy. Joshua, jak to potem opowiadał reszcie uczniów Mistrza - Kefa, widząc to, wpadł w szal. Wyrwał z ręki bat rzemienny sprzedawcy zwierząt i zaczął nim okładać na lewo i prawo, wszystkich którzy byli akurat w jego zasięgu. Próbowali go powstrzymać, ale tych Kefa odepchnął swoimi rękami. Joshua, nie zaprzestawał, minął zagrody i szedł od stołu do stołu jak w amoku, wywracając je i niszcząc lichwie interes. Powstał nieopisany chaos. Część osób rzuciła się po rozsypane monety, część uciekała przed ciosami bożego bicia, inni próbowali schwytać rozpuszczone zwierzęta. Dopiero kiedy, zaalarmowana przez sługi świątyni, nadbiegła uzbrojona drużyna setnika Negata, Joshua opanował emocje. Otoczony uzbrojonymi po zęby żołnierzami Nauczyciel, ciężko dysząc, upuścił bat. Poddał się.

W eskorcie żołnierzy, miał zostać zaprowadzony do fortecy setnika. I wtedy, kiedy resztki gapiów rozstąpiły się, Kefa ujrzał opartego o ścianę świątyni Sude. I albo mu się wydawało, albo to było złudzenie, spowodowane emocjami. Suda z dowódcą rzymian wymienili spojrzenia skinieniem głowy. Kefa ruszył ku niemu, ale znowu zrobiło się zamieszanie i stracił go z oczu.

Odeszli z Andrzejem poza Dzerulasem. Niedaleko. W ubogiej dzielnicy poza murami, wynajęty mieli dom, w którym świętować mieli wspólnie Chasap. Czekali. Byli już prawie wszyscy. Łącznie z Marią, matką Joshuy i jej siostrą. Była też Mirae, której Mistrz poświęcał ostatnio dużo czasu. Kefa był wyraźnie o to zazdrosny. Mistrz nazywał ją uczniem. Takim samym jak on, Filip, Andrzej, Jon i inni. Faworyzował ją. To przy niej najgłośniej się śmiał, choć potem sam zaprzeczał temu. Potrafił ustąpić jej miejsca przy posiłku i nigdy na nią nie gniewał. W przeciwieństwie do Kefy. Dla Kefy, była piątym kołem u wozu. Najchętniej by się jej pozbył, bo wszystko psuła. Nie miał odwagi powiedzieć o tym wprost Nauczycielowi. Tolerował ją granicą swojej cierpliwości. Czas mijał. A Joshua nie wracał. W końcu Kefa nie wytrzymał i postanowił wyjść naprzeciw. Setnik nie miał w zwyczaju więzić Wigomerów na święto Chasap, nawet jeśli, byli tylko Galilejczykami. Groziło to wybuchem zamieszek w

mieście. A była to ostania rzecz, z jakiej sobie życzył. Chasap był zbyt wielkim i ważnym świętem. Oprócz Joshuy, brakowało jeszcze jednej osoby. Był nią Suda. I o ile Mistrza wyczekiwał z niepokojem, o tyle na spotkanie z Sudą, miał już gotowy plan. A, że przeczucie go nie zawiodło, okładał teraz pięściami zdrajcę na środku drogi prowadzącej z Dzerulasem do domu, w którym spożywać mieli Chasap.

Nagle z bliskiej odległości dobiegł go głos Mistrza:

- Kefa co robisz!?! – To Joshua, który właśnie wyłonił się zza zakrętu, rozpoznał bijących się między sobą, jego własnych uczniów. Teraz krzykiem, próbował ich powstrzymać. Ponieważ Kefa nie reagował, musiał podbiec, chwycić go za ramiona i odciągnąć na bok. Uczeń dopiero teraz oprzytomniał. Wyrwał się z uścisku Mistrza.

- To zdrajca! – Wykrzyczał oskarżenie, wskazując na Sudę – On spiskuje z setnikiem i Wielką Radą Ushafearaf, żeby Ciebie pojmać! Udaję jednego z nas, wszędzie z nami chodzi, a potem biegnie do nich i wszystko im mówi.

Suda podniósł się z ziemi. Ocierał twarz zasypaną piaskiem drogi, pomieszanym z jego własnymi łzami. Z kącika ust sączyła się krew. Miał rozbitą dolną wargę.

- Nie mówię nic, co nie byłoby potwierdzone prorocstwami – powiedział Mistrz, chcąc uspokoić Kefę – każdy może to sprawdzić.

- Wiem, że tak jest Mistrzu i oni też wiedzą, ale dziś na świątynnym dziedzińcu zniszczyłeś interesy kapłanów. Oni nie puszczą Ci tego płazem.

Kefa powiedział głośno to, o czym mówiło się od dawna. Handel ofiarny i lichwa przy świątyni, to było źródło nieopodatkowanych dochodów kapłanów. Dochody były nieopodatkowane, ponieważ na ten proceder przymykał oko setnik, który również miał w tym swój udział. Jak się wydawało wiedzieli o tym wszyscy ale nie Joshua. Ten był gdzieś ponad tym.

- Gorliwość o dom Twój pochłonie Mnie – odpowiedział Joshua - zapamiętaj to sobie Kefa. Przyda ci się. Liczę na ciebie.

Joshua podszedł do Sudy. Poprawił rękaw jego płaszcza.

- On wstawił się za mną, kiedy aresztowali mnie żołnierze – powiedział, jakby chciał nieco zmienić osąd Kefy o Sudzie.

- Wstawił? – Kefa nie mógł uwierzyć.

- Tak – potwierdził Mistrz – przyszedł za mną do twierdzy i prosił setnika o uwolnienie.

Mistrz mówił to, nie patrząc w kierunku Kefy. Zdawał sobie jednak sprawę z zaskoczenia jakie wywołał i jaką jego uczeń, ma teraz głupkowatą minę.

- Nie wiem co powiedzieć – bąknął pod nosem Kefa – widziałem go na dziedzińcu. Myślałem, że ... był z nimi przeciwko nam – mierzyli się teraz wzajemnie wzrokiem. On i Suda. Jeden oczekiwał przeprosin i zadośćuczynienia, drugi przygasił ogień nienawiści, wciąż jednak postanowił być czujny. Nie wierzył w jego dobre intencje.

- Chodźmy – powiedział wreszcie Mistrz, aby odwrócić ich uwagę od siebie. Czekają na nich ważniejsze rzeczy – Chodźmy, – powtórzył – przed nami Ostatnia Wieczerza.

Rozdział VII. Zakochanie

- Podobno Twój Nauczyciel nieźle narozrabiał w świątyni. Słyszałaś? – Ni to zapytała, ni to stwierdziła Salmah, przekładając kolejny fragment koszuli męża w drewnianej prasie. Cedrowa prasa to był autorski wynalazek Nikodema. Nikodem wielokrotnie miał okazję obserwować ile czasu i siły musi wkładać w wykonanie prania jego żona. W końcu postanowił ułatwić jej tę czynność i skonstruował prasę według własnego pomysłu. Dolna część, nieruchoma, była nawiercona wiertłem stolarskim w wielu miejscach, w sposób regularny. Górna zaś tej samej wielkości, służyła jako docisk. Domontował do niego dwa uchwyty na zasadzie dźwigni Archimedesesa. Obie płaszczyzny złączone były u szczytu, dwoma parcianymi pasami. Teraz wystarczyło tylko włożyć mokry fragment odzieży pomiędzy powstałe szczęki i docisnąć rękojeści aby odsączyć nadmiar wody.

- Wiem, że coś się wydarzyło – odparła Mirae. – Ale nie znam szczegółów.

Mirae faktycznie nie wiedziała, co takiego zaszło na wzgórzu Moria. W czasie, w którym działy się opisywane przez Salmah wydarzenia, przebywała wraz z innymi kobietami poza murami miasta. Jak nakazywała tradycja, zbierały zioła na wieczorną wieczerze. Wróciwszy do domu, miejsca w którym mieli ją spożywać, dowiedziała się od reszty uczniów o zajściu. Serce mocniej jej wtedy zabiło. Bała się, że Mistrzowi coś się stało. Uczniowie jednakże nie byli naocznymi świadkami i sami wiedzieli tyle, co powiedzieli im inni, którzy akurat przechodzili tamtędy. Naocznymi świadkami był Kefa, Andrzej i Suda, lecz żaden z nich nie wrócił jak dotąd z miasta. Ponieważ większość prac kobiecych, które przynależały do nich przy przygotowywaniu Chasap została wykonana, Mirae postanowiła odwiedzić ciotkę Salmah. Z jednej strony rzeczywiście pragnęła ją odwiedzić, a z drugiej pragnęła być bliżej Mistrza.

Gdziekolwiek by był. Mirae zastała Salmah w momencie, kiedy razem z Zofią urządziły pranie na tyłach domu. Zofia przepierała koszule, a Salmah wyżywała z nich nadmiar wody i wieszała na rozciągniętym pomiędzy dwoma drzewami sznurze. Zofia ujrzawszy dawno nie widzianą przyjaciółkę, rzuciła się jej na szyję, nie zważając na mokre po łokcie ręce. Od czasu, kiedy Mirae została uczniem Joshuy, nie widziały się od kilku miesięcy. Opowieści zatem, nie było końca. Dopiero potem rozmowa zesłała na temat wydarzeń w świątyni.

- Podobno popsuł cały handel kapłanom – ciągnęła wątek Salmah – Odważny jest – pokiwała głową – Nikodem mówi, że jeśli to prawda, to kapłani mu tego nie darują.

- Mówią, że jest w areszcie u Rzymian – dorzuciła Zofia, tak aby Mirae miała możliwie najdokładniejszy obraz posiadanych przez nie informacji.

- Ale przecież idzie Chasap – nieśmiało wtrąciła Mirae. Przeraziły ją te opowieści.

- Może go wypuszczą, może nie – powiedziała filozoficznie ciotka, domyślając się co dziewczyna ma na myśli – Kto to wie. Wszystko zależy od tego, komu i jak mocno nadepnął na odcisk.

Skończyła wyżywać ostatnią koszulę. Rozwiesiła ją na sznurze, po czym ruszyła w kierunku domu. Zofia skinęła na Mirae. Obie przechyliły trójnog drewnianej balii wylewając zeń brudną wodę.

- Zostaniesz na wieczery?

Mirae pokręciła przecząco głową.

- Muszę być tam gdzie będzie mój Nauczyciel.

- Nie spodziewałam się, że to się tak potoczy – westchnęła Zofia – Pamiętasz jak przybyliśmy do Dzerulasem razem? Zaraz potem się rozchorowałam. Napędziłaś mi wielkiego strachu. – Mirae uśmiechnęła się delikatnie.

- Wiem, bardzo dzielnie się mną wtedy opiekowałaś.

- No a potem były czary-mary i ...

- Oj, Zofio – przerwała jej - nie wracajmy do tamtych chwil. Nie umiem ci tego wytłumaczyć.

- Zmieniłaś się.

- Tak - potwierdziła Mirae, ale jednocześnie nie dając żadnego znaku, że na gorsze. Miała nadzieję, że tak samo myślała o niej jej przyjaciółka.

- To przez Niego. Wiem o tym. Nie boisz się, że on cię zaczaruje?

- Gdybyś go znała nie mówiłabyś tak – zaprzeczyła Mirae – On nie czaruje, jest wręcz przeciwnie. Mówi jasno, prosto, zwięźle. Ma w małym palcu prawa Wigomerów. Jest zwyczajnie – szukała właściwego słowa – dobry i mądry.

- I przystojny – dodała filuternie Zofia.

- To nie ma nic do rzeczy – ucięła Mirae. Na jej policzkach pojawił się rumieniec, którego nie zdołała ukryć.

- Spójrz na mnie – przyjaciółka starała się spojrzeć jej w oczy – Nie wierzę! - Wykrzyknęła nagle – Zakochałaś się!

- Nie! – Zaprzeczyła, ale Zofia, już wiedziała, że tak jest. Jej kobieca intuicja, była nie do oszukania.

- Mirae, naprawdę jesteś zakochana! Widzę to po tobie – drażyła. Mirae jednak nic nie mówiła. Uciekała wzrokiem. Cóż mogła jej powiedzieć? Że ona nie jest od kochania, tylko od pilnowania, aby Joshua nie zboczył z drogi, na której końcu czeka na niego śmierć, po której uzyska on tytuł Odkupiciela Świata. Czy mogła kogoś takiego kochać? Czy powinna kogoś takiego kochać? Czy On, gdyby wiedział, zgodziłby się na taką miłość?

- Muszę iść – powiedziała wreszcie. Rozmowa była zbyt osobista a jej śpieszno było wracać. Tęskniła za nim. Bała się o Niego. Strach, że może go już nie ujrzeć, gnał ja z powrotem. Nawet jeśli by miała być to tylko jedna mała chwila, musiała Go zobaczyć.

Rozdział VIII. Ostatnia wieczerza

Dom w którym miała odbyć się wieczerza, był zupełnie zwykłym domem. Wcale nie małym ale też i nie wielkim. Dzięki obrotnemu Sądziemu udało im się wynająć jego piętro za całkiem rozsądne pieniądze. Z tym, że piętro ma różne wyobrażenia w swej postaci. Piętro o którym mowa, miało glinianą podłogę, która jednocześnie była sufitem parteru. Jakies dwadzieścia cztery metry powierzchni. Nie było na nim żadnych ścian działowych. Jedyne ściany jakie były wybudowane, to były tak zwane pół-ściany po zewnętrznym obwodzie murów nośnych. Dorosły mężczyzna stojąc, miał je do wysokości pasa. Tak, że mógł obserwować okolicę z każdej strony, na którą spojrzał. Od strony południowej doskonale widać było światła Dzerulasem W każdym rogu piętra-tarasu stał drewniany słup. Po długich bokach, takich słupów było cztery. A po krótkich trzy. Na słupach oparta była konstrukcja dachu. Dach żebrowany był krokwiami dębu palestyńskiego i obłożony na zakładkę liśćmi palmy daktylowej.

Gdyby nadeszła niespodziewana ulewa, byli zabezpieczeni. Na sąsiednich działkach stały podobne domy. I tak samo przygotowywano się w nich do wieczornego świętowania.

Potrawy na Chasap przygotowywało się w kuchni na parterze. Prym wiodła tam matka Joshuy, Maria, która przybyła na święto Chasap z miasta Nazaret oraz Marta, siostra Łazarza, którego Joshua wskrzesił z umarłych.

Kiedy Mirae wróciła od Salmah, już z daleka radość przepelniła jej duszę. Przed domem nie zastała żadnego z uczniów. A to znaczyło, że nikt na nikogo nie oczekiwał. Bo przybyli wszyscy Ci, którzy byli oczekiwani. Na piętrze trwał radosny gwar. Taki, który mówił, że najbliższe sobie osoby, są w jednym miejscu i szykują się do wspólnej biesiady. Najgłośniej zaś rozprawiał i śmiał się Kefa. Jego głosu nie dało się nie odróżnić od innych. Był człowiekiem słusznej postury, a zatem i głos jego był donośny i wyraźny. Mirae odruchowo przesunęła chustę z głowy na ramiona. Przeczesała włosy, odgarnęła z czoła kosmyk, który wydawał się jej nienaturalnie ułożony. Ruszyła w kierunku drzwi. Odsunęła na bok płótno zawieszane na wejściu. Niespodziewanie stanęła twarzą w twarz z Marią, matką Joshuy. Ta ujrawszy ją, przytuliła do siebie, zakładając ręce za jej plecy i kładąc podbródek własnej głowy na jej ramieniu. Był to bardzo serdeczny uścisk. Tak jakby matka przytulała córkę.

- Nie zrób mu krzywdy – powiedziała Maria, chwytając ją obiema rękami za prawą dłoń. Mirae szybko odwzajemniła jej matczyne uścisk. Trwało to długo. Musiała opanować łzy, które cisnęły się jej do oczu.

- Mario, twój syn został wybrany by uratować świat – powiedziała Mirae, raczej nie spodziewając się zrozumienia z jej strony. Maria zaś przeniosła spojrzenie w bok, poza jej lewe ramię.

- Wiem. Zwiastował mi to Archanioł Gabriel przed jego narodzinami.

Mirae przeniosła wzrok do wewnątrz domu. Nie chciała patrzeć w jej oczy.

- Stanie się to, co ma się stać – powiedziała.

- Drogie panie! – Usłyszały naraz głos Marty. Stała na schodach prowadzących na piętro – mamy dwanaście gęb do wykarmienia, a wy uściski sobie wymieniacie!? Dalej do roboty. Czas już nadszedł!

Maria i Mirae rozłączyły dłonie. Poszły razem do kuchni. Dania były wcześniej przygotowane. Nad gorącymi, pieczę sprawowała gospodyni domu, dokładając dREW do paleniska. Nalewały misy, zbierały mace na talerze, osobno niosły zioła. Tak aby każdy kto lubi, smakował jedynie wybrane. Pierwsza na piętro wchodziła Maria. Za

nią Mirae. Z każdym stopniem schodów, serce biło jej coraz bardziej. Wchodząc na górę, wzrok rozplątał się w nicość. Położyła kosz pośrodku zebranych uczniów. Nagle czyjaś dłoń uchwyciła jej zgrabne palce.

- Niepotrzebnie się denerwujesz – usłyszała jego spokojny głos – to będzie dziś.
- Ale co dziś? – odezwał się nagle wszystkiego ciekawy Jon, który podsłuchiwał rozmowę. Jak zwykle liczył na niewiarygodne wydarzenie albo cud.
- Jon – odezwał się Mistrz, spoglądając na niego spode łba. – Chcesz żyć wiecznie?
- Kto by nie chciał Mistrzu! – odparł Jon.
- Pomyślę nad tym – zbył go na odczepnego Joshua. Jon choć młody i rozbrykany, wyczuł aluzję. Wstał i poszedł w kąt dachu, z którego najlepiej widać było Dzerulasem.

Na piętro zostały wniesione wszystkie przygotowane potrawy. Obecni byli: Kefa, czyli Szymon Piotr, Andrzej brat Piotra, ten sam który bił za niego na świątynnym dziedzińcu, Jakub zwany większym Jan, (Jon) brat Jakuba, Filip, Bartłomiej, Mateusz od Lewitów, Tomasz zwany Didymos, Jakub, i Suda.

- Usiądź przy mnie, kiedy skończysz - powiedział Mistrz, mając na myśli przygotowania do wieczerzy. Mirae nie spełniła jednak Jego prośby. Usiadła pod ścianą, niedaleko wejścia, za Marią i Martą. „To będzie dziś” – huczały jej głowie okropne słowa. „Kiedy nadejdzie świt” – już go nie zobaczę. Obserwowała z oddali postać, którą umiłowała nade wszystko. I to nie dlatego, że mówił o sobie, że jest synem Boga. Natychmiast uciekała wzrokiem, jeśli tylko istniała groźba obopólnego spojrzenia. Wiedziała jednak, że będą ze sobą rozmawiać i nastąpi to bardzo szybko. Za chwilę.

Pożegnanie

- Mistrzu ... - zaczęła, nie bardzo wiedząc co ma zrobić z rękami. To poprawiała włosy, to część garderoby. Stali naprzeciw siebie, poza domem, niedaleko kilku drzew migdałowych. Ich twarze delikatnie muskała poświata z pochodni, umocowanej na ścianie domu. Wieczorna biesiada zakończyła się.
- Możesz mówić Joshua, nie obrażę się.
- Joshua..., czy wiesz kim jestem? – Pytanie mogłoby wydać się dziwne, ponieważ znali się już wystarczająco długo, aby poznać nawzajem.
- Wiem. Jesteś Mirae z Miralli, czyli ta, która ma pilnować, żebym się nie rozmyślił gdybym na ostatniej prostej popadł w wątpliwość.

- Pilnować? – Zdziwiła się. – Ja nie umiem pilnować. Gdyby to ode mnie zależało wolałabym być Twoim zwykłym uczniem. Żałuję, że Bóg ... – szukała odpowiednich słów, ale nie potrafiła ich dobrać. Nie chciała go urazić.
- On doskonale wiedział co robi. Dał mi cię taką, jaka jesteś. I to w zupełności wystarcza.
- No ale przecież, nie będziesz umierał dla mnie.
- Nie – potwierdził jej przypuszczenia. Przepuścili Andrzeja, który przechodził opodal.
- Mam umrzeć za tych, którzy są tu i teraz. Tych, którzy dopiero się narodzą i tych, którzy dawno już pomarli. Zgadza się?
- Tak. W Tobie zachowają życie.
- Mirae, czy wiesz – tu zastanowił się, na ile realne jest dla niej to, co powie za chwilę – znam wszystkie imiona ludzi. Nawet tych, którzy dopiero się narodzą. Znam wszystkich, których odkupi moja śmierć. Znam też tych, którzy przepadną.
- Tak jak Suda?
- Suda zdradzi mnie, ale nie przepadnie – błędził wzrokiem w bardzo dalekiej przyszłości. Czują, że jest to tak daleko, że tylko On wie, kiedy i gdzie.
- Dlaczego?
- Za swój uczynek trafi do Kłamców, ale ustanowię moje miłosierdzie na nim. Miłosierdzie będzie jedną z pereł w mojej koronie.
- Miłosierdzie nie jest sprawiedliwe. Chcesz okazać litość człowiekowi, który zaprowadzi cię na śmierć?
- To nie litość. Miłosierdzie jest pochodną łaski. Znaczący dużo więcej niż sprawiedliwość.
- A Kefa? Czy on po Tobie zostanie Mistrzem? – Bała się użyć słowa „Nauczyciel”.
- Kefa? – Uśmiechnął się na samą myśl o nim. - Rankiem zanim kur zapieje, zaprze się mnie po trzykroć.
- Mirae, nie mieściło się to w głowie. Wydawało się jej, że On jest najsilniejszy mentalnie, ze wszystkich uczniów. Czy byłby zdolny, do tego by wyrzec się Mistrza?
- I dlatego – ciągnął Joshua – zbuduje na nim kościół mój, który będzie jak skała i nic go nigdy go nie przemoże.
- Nie rozumiem – wyznała szczerze. On zaś wiedział, że to prawda. Mówił o rzeczach, których nie mogła rozumieć. Było na to za wcześnie.
- Boisz się? – Zapytała.

- Tak – odpowiedział, bez wahania – znam czasy, które były i które będą. Ale Ojciec nie dał mi poznania cierpienia z powodu mojej śmierci. Nie wiem w jaki sposób to się stanie. Odkupienie będzie mnie bardzo dużo kosztować.

- A czy zamiast Ciebie, nie mógłby ktoś inny? – Mirae sama nie wierzyła w to, co mówi. Zaprzeczała w ten sposób swojej misji.

- Przecież wiesz, że nie. Ty jesteś na to dowodem.

- Nie chce żebyś umierał – serce waliło jej coraz mocniej. Niewidzialna gula ścisnęła jej krtań dławiąc słowa. Nie miała odwagi jednak wyznać, że kierują nią coś więcej niż wiara.

W progu domu stanął Suda. Oparł ramię o ościeżnicę drzwi. Przyglądał im się z daleka. Joshua, ostatni raz spojrzął na Mirae. Przybliżył twarz i musnął jej policzek swoimi ustami. Żegnał się z nią tak, jak podróżnik, na którego czekała daleka droga. Odwrócił się i ruszył w kierunku wejścia. Zatrzymał się na chwilę i patrząc w oczy Sudy rzekł: „Co chcesz zrobić, czyń prędeej!” Po czym wszedł do środka.

Rozdział IX. Rozesłanie Ducha Św.

- Jacyś ludzie kręcą się po okolicy i wypytyują o was – Kefa, Andrzej i Filip, którzy stali przed głównym wejściem Wieczernika, wymienili pomiędzy sobą porozumiewawcze spojrzenia. – Lepiej wejdźcie do środka – powiedział Set. Set był właścicielem domu, który wynajęli na święto Chasap i w którym spożywali ostatnią wieczerzę z Mistrzem.

- Żołnierze? – Zapytał Kefa.

- Nie – zaprzeczył - przewodzi im niejaki Barisha.

Uczniowie doskonale znali Barishę. To przecież jego upokorzył Joshua na placu Ain Karem. Nie wróżyło to nic dobrego. Po ukrzyżowaniu Joshuy rozpoczęło się polowanie na jego uczniów. Wysoka rada i kapłani Ushafearaf powzięli sobie za cel wypłenić zło do gołej ziemi. Tak, aby pamięć o Galilejczyku zagubić w mrokach dziejów. Strach, jaki padł na nich zrobił swoje. Jeszcze dwa tygodnie wcześniej było ich bardzo wielu. Jedni zapraszali drugich. Teraz rozpiezchli się w różne strony. Zostało ich tylko jedenastu nie licząc Marii, matki Joshuy, Marty, siostry Łazarza oraz Mirae.

- Proszę, wejdźcie do środka – powtórzył Set. Spełnili jego prośbę. Set natychmiast zaczął barykadować drzwi od wewnątrz. Nie prosili go o to. On jednakże nie dbał o nich. Bał się o siebie. Bał się, że zaliczą go do grona uczniów Joshuy. Set miał dość

dziwny sposób komunikowania się z innymi osobami. Nigdy, lub prawie nigdy nie patrzył w oczy, osobie z którą rozmawiał. A jeśli już musiał, to robił to tylko na chwilę. Szybko, ukradkiem. Widać było, że nie w smak mu dłuższe wynajmowanie lokum dla uczniów zabitego Joshuy, ale termin miał opłacony z góry. Nie potrafił im go wymówić. Nie chciał też mieć kłopotów z powodu ich obecności. Wolał, zatem ich ostrzec niż ich wydać. Żona Seta, której imienia nigdy nie poznali, całymi dniami siedziała przy palenisku kuchni. Rozmawiała tylko i wyłącznie z nim. Czasem wydawało im się, że jest tylko sama dla siebie, a tylko wyjątkowo dla niego, jeśli on raczy odezwać się do niej. Nie inaczej było i tym razem, choć było ich tam wielu.

Uczniowie pogrążeni byli w rozpacz. Czuli zawód, przygnębienie i zwątpienie. Niejeden żałował swojej decyzji i teraz chętnie odmówiłby przeznaczeniu. Tyle, że było już za późno. Zabito ich Nauczyciela. Oskarżono go w prawie i w prawie ukrzyżowano. Swoją asygnatę, za sprawą namiestnika Ponepilada dał wszechmocny Rzym. Ich okrzyknięto heretykami. Zapomnieli o wszystkim, czego nauczył ich Joshua. Bali się.

Nadchodziła noc, a wszechpotężny strach stanął wokół nich, nie dając zasnąć. Kończył się baszat.

O poranku, zanim jeszcze słońce weszło ponad horyzont, kobiety zabrały się za przygotowanie olejków. Były potrzebne, aby namaścić ciało zmarłego Nauczyciela. To była ostatnia rzecz, jaką mogły dla niego zrobić i jaka mu się należała według tradycji Wigomerów. Pomimo próśb, żaden z uczniów nie miał odwagi, by im towarzyszyć. Koniec baszatu oznaczał, że polowanie na nich wznowi Barisha. Do grobu poszły same.

Ledwie godzinę po wschodzie słońca, rozległo się donośne walenie pięściami do drzwi. Poderwali się na równe nogi i ogarnęło ich przerażenie. Kto zdradził?! Wtedy nie wiedzieli jeszcze, że Suda nie żyje. Powiesił się tej samej nocy, której wydał Mistrza w ręce Barishy i jego siepaczy.

- Otwórzcie! Natychmiast otwórzcie! – Usłyszeli kobiece głosy. Nikt z nich jednak nie miał odwagi odryglować drzwi. Pojawił się jednak Set i zrobił to za nich. Pierwsza do izby wpadła zdyszana Mirae. Ledwie mogła złapać oddech. Dyszała ciężko, opierając ręce na kolanach. Oczy błyszczały jej dziwnym blaskiem.

- Nasz Pan żyje! – Wypowiedziała ostatkiem sił – grób jest pusty! – Radowała się spełnioną przepowiednią – Słyszycie? Słyszysz Kefa?! – Tu zwróciła się bezpośrednio do najważniejszego z uczniów – Joshua żyje!

- Ale ... - zaczął niepewnie Kefa, nie do końca rozumiejąc jakiej wagi aktorem jest w tej chwili.

- Nie marnuj czasu! – Przerwała mu Mirae – Biegnij do grobu. On zmartwychwstał tak jak zapowiadał! Tyle razy mówił nam o tym – kręciła z niedowierzaniem głową – a my zwątpiliśmy, kiedy tylko zabrakło Go między nami.

- Kto idzie ze mną? – Zapytał, aby mieć świadka.

- Ja! – Natychmiast zerwał się z ławy najmłodszy Jon – Ja chcę iść!

Kefa rozejrzał się wokół, ale nikt z pozostałych jakoś nie kwapił się, by do nich dołączyć. Czuł lekki zawód.

- Jesteś pewna, że grób jest pusty? – Kefa badał sprawę, bardziej ze strachu niż oczekiwania zrealizowanej przepowiedni. I to był pierwszy raz, kiedy postawił ją równą sobie, jako ucznia Joshuy. Cokolwiek by teraz nie powiedziała. Uwierzyłby w to.

- Tak. Szata i chusty złożone są na wezglowiu. Pilnują ich Aniołowie – odpowiedziała poirytowana jego opieszałością.

- Jak to? Aniołowie? – Kefa czuł się nieswojo. Opanował się jednak szybko. Pamiętał bowiem, że wyrzekł się Mistrza trzy razy zanim Go zabili.

- Jon – zawyrokował Kefa – idziesz ze mną. – I ty Mirae, też chodź.

Gdy jeszcze mówili, sam Joshua nagle stanął pośród nich i powiedział:

- Pokój wam! - Wszyscy się bardzo przestraszyli, sądząc, że widzą ducha.

- Czemu jesteście tacy przerażeni? - Zapytał. –Dlaczego wątpicie, że to jestem Ja? Zobaczcie rany na moich rękach i nogach! Przecież to Ja, we własnej osobie! Dotknijcie Mnie, a przekonacie się, że nie jestem duchem. Duch przecież nie ma ciała ani kości, a Ja mam!

Mówiąc to, pokazał im swoje ręce i nogi. Uczniowie byli tak szczęśliwi i zarazem zdziwieni, że aż nie mogli uwierzyć w to, co widzieli. Wtedy Joshua zapytał ich:

- Czy macie tu coś do jedzenia? - Podali Mu kawałek pieczonej ryby, a On zjadł ją na ich oczach. Następnie powiedział do uczniów - Gdy jeszcze przed ukrzyżowaniem byłem z wami, mówiłem, że musi się spełnić to, co jest o Mnie napisane w Prawie Mojżesza, pismach proroków i w Psalmach. – Rozjaśnił ich umysły, by to wszystko zrozumieli. I dodał - Napisane jest, że Mesjasz będzie cierpiał, że umrze i trzeciego dnia powstanie z martwych. Wszystkie narody, począwszy od Wigomerów, będą w

Jego imieniu wzywane do opamiętania i przyjęcia odpuszczenia grzechów. Wy jesteście świadkami spełnienia się tych proroctw.

Tymczasem przed Wieczernikiem zaczął zbierać się tłum. Gęstniał z każdą chwilą. Byli to zwykli gapie, ale też pomiędzy nimi stali ludzie Barishy. Jego samego jeszcze nie było. Set na wszelki wypadek zabrał swoją wiecznie milczącą żonę i ulotnili się, czym prędzej, wyjściem znajdującym się na tyłach domu. Joshua poznał powód utrapienia uczniów. Nie sprawiał jednak wrażenia człowieka, który się boi.

- Dałem wam dowód zmartwychwstania, abyście uwierzyli we wszystko, co zapisano w Prawie i co się stać musiało. Teraz zaś Prawo nie ma nade mną władzy. Daję wam obietnicę, która jest dziełem mojej łaski i która pochodzi z wiary. Kto wierzył będzie we mnie nie zginie – podkreślił. – Gdyby dziedzicami stać się mieli przestrzegający Prawa, wiara nie miałaby żadnego znaczenia. A obietnica byłaby daremna. Czy rozumiecie, co wam powiedziałem?

- Tak Mistrzu – potwierdzili.

- Weźmijcie zatem Ducha Świętego – a to powiedziawszy – nakładał na nich po kolei ręce, obdarzając ich spokojem, pewnością siebie i łaską poznania.

- Ciebie Kefa – mówił stając naprzeciwko niego – uczyniłem opoką mojego kościoła.

- Panie ... - Kefa jękał się zaskoczony – ja ..., zaparłem się Ciebie – powiedział, a zabrzmiało to jak pierwsza spowiedź. Joshua pozostał jednak niewzruszony.

- Na tobie zbuduję kościół mój – powtórzył.

Na końcu podszedł do Mirae. Przytulił ją serdecznie, potem chwycił za ramiona i odsunął od siebie, tak jakby chciał ją wyraźniej zobaczyć. Uśmiechnął się dobrotliwie. Nie było w tym jednak nic z pożądania. To była miłość w czystej postaci. Nieskazitelna i niewyobrażalna.

- Wykonało się – szepnął. Uczniowie zaś gnani wewnętrzną siłą, zaczęli wychodzić przed Wieczernik. Natchnieni Duchem Świętym przemawiali, do tłumu, a że wciąż był to czas Chasap, zdumieni byli wszyscy i tutejsi i obcy, że mówią gładko w różnych językach i każdy ich rozumie. Spóźniony Barisha, próbował ratować sytuację, podżegając do linczu, ale było już za późno. Tłum słuchał w zachwycie nowej nauki o zmartwychwstaniu i życiu wiecznym.

Rozdział X. Zapowiedź upadku klanu Kwaków

Kwakowie na Proxima Centauri od jakiegoś czasu chodzili bardzo podenerwowani. Wiedzieli, że coś poza ich kontrolą wydarzyło się we Wszechświecie. Ale nie znali źródła, powodu, ani przyczyny. A przecież oni byli tymi, którzy powinni takie rzeczy wiedzieć. Gnębił ich niepokój przed nieznanym. Była to dla nich całkiem nowa sytuacja. Ich świat, mógł zostać nieodwracalnie odkształcony. Być może bezpowrotnie. A oni, tymczasowo nie mieli na to wpływu. Podobno gdzieś, we Wszechświecie narodziła się nowa, dotąd nieznaną, formą energii. I to taka, która wchodząc na scenę, od razu zmieniała układ sił. Nieznany scenarzysta na nowo zaczynał rozpisywać role.

Pierwsze podejrzenie padło na widma z wyższego poziomu. Ale tu opinia nie była jednoznaczna. Kwakowie wiedzieli, że takie istnieją, ponieważ posiadali z nimi kontakt. A dokładnie, to Natan Kwak, jako jedyny, wiedział i potrafił, za ich przyzwoleniem, do nich dotrzeć. Tyle, że były to widma, które według niego, nie były zdolne do walki o energię. Nie potrafiły knuć, zagarniać, podkradać ani walczyć. Natan, pomimo zażyłości, osobiście, ale tylko między swoimi, nazywał je z tego powodu „ciotami”. Tamci mieli jednak coś, czego nie mieli Kwakowie. Wyposażeni byli w bardzo długi czas rozpadu skonsumowanej energii. A to dawało nad resztą bytów, bardzo dużą przewagę. Takiej umiejętności ani technologii nie posiadał jego klan, choć usilnie nad tym pracowali. Między innymi uruchamiając dawno temu, laboratoryjną hodowlę widm w galaktyce Tebach. Poprzez zażyłość z widmami wyższego stopnia, Natan chciał wprowadzić swój klan na wyższy poziom i uczynić go jeszcze potężniejszym.

Drugie podejrzenie padło na Kłamców. Wieki całe bili ich i przeganiali z miejsca na miejsce, nie zadając sobie trudu sprawdzenia, czy Kłamcy w tajemnicy nie pracują nad własnym projektem przejęcia władzy na Proximie. Wielokrotnie przecież podejmowali takie próby. Trzecie podejrzenie padło na Windura. Dlaczego akurat na niego? Ponieważ Windur, był jedynym widmem z niższego poziomu, które miało wcześniej bezpośrednią styczność z Kwakami. Co prawda Windur zniknął im z pola widzenia, po tym jak dosłownie zaorali na Nebularing jego prymitywną hodowlę, ale Natan Kwak, czuł chłód w lędźwiowej części własnego widma i przeczuwał, że nie jest to jego ostatnie słowo. I przeczucie go nie myliło. W niedługi czas potem, kiedy na Ziemi, wykonał się czas i skończyła się misja Galilejczyka, Windur przybył, choć nikt

go nie zapraszał na Proxima Centauri. Przybył to najlepsze określenie z możliwych. Po prostu wszedł na terytorium Kwaków, ignorując najemników i zastawione przez nich pułapki. Posiadał świadomość tego jak jest mocny i wiedział, że żaden nie ośmieli się podnieść na niego ręki. Strażnicy zaś słusznie oceniali, że starcie z Windurem grozi złamaniem widmowego karku i utratą cennej energii. Był przekonany, że nie zrobi tego również żaden z Kwaków.

Nie przeczuwając nic dobrego, Natan Kwak założył najlepszy widmowy mundur, jaki posiadał w kolekcji i którego wszyscy mu zazdrościli. Po czym wyszedł wraz z braćmi naprzeciw, zastępując Windurowi drogę. Dysproporcja klas była ogromna. Windur był trzykrotnie większy od widm braci razem wziętych. Był to potężny ładunek energii. Gdyby nie strach, okazałoby podziw.

- Zmieniłeś się – rozpoczęła Natan, zachodząc w myślach, jakim cudem tego dokonał. Wszak po ostatnim ich spotkaniu na Nebularing zostawił go załamany, zrezygnowany i pokonany. Nie rokował na przyszłość w żadnej kategorii.

- Jak widzisz - Windur pokiwał widmową głową na znak potwierdzenia. Bacznie śledzili nawzajem swoje ruchy. Tak jak czynią to wytrawni wojownicy w momencie najwyższego napięcia. Każdy z nich miał broń w zasięgu ręki. I wtedy Windur, choć obiecywał sobie, że się nie podpali i że nie będzie się spieszył, zrobił coś, czego obiecywał sobie, że nie zrobi. A przynajmniej nie od razu. Uruchomił skaner i zaczął nim klonować widmo Natana, duplikując i przejmując na własność jego doświadczenie i wiedzę. W tych obszarach, które jak dotąd były dla niego niedostępne. Natan szarpnął własnym widmem z wściekłości. Zamieszał nim, przerzucił przez plecy, starał się zaburzyć pobieranie informacji. Jednocześnie wyrzucił z czeluści swego widma, w kierunku Windura ładunek anihilacyjny, czyli zrobił to, co kiedyś zrobić miał jego najmłodszy brat Rajzer. Windur był jednak przygotowany na takie rozwiązanie. Przechwycił ładunek i roztarł na proch widmowymi palcami, bez żadnego uszczerbku na zdrowiu. Rajzer Kwak, widząc co się dzieje, odezwał się natychmiast:

- W twojej zmianie, jest trochę naszej zasługi – próbował załagodzić spięcie. Miał tym samym nadzieję, na ocieplenie stosunków. Windur zamknął skaner i uniósł brew.

- Wiem, do czego zmierzasz – podjął – ale oba atomy życia jakie mi dałeś, zostały zniszczone na księżycu Stellar C – przypomniał braciom ich chwilowy triumf. – Status widma jakie uzyskałem wtedy dzięki nim, nie jest tym statusem jaki posiadam obecnie. To inna energia.

- Jednak ... - ciągnął widmowym nosem Ozeasz Kwak –... jest bardzo podobna do naszych widm. – Nie odważył się jednak skubnąć choćby kawałeczka widma Windura. Choć bardzo go korciło, by jej popróbować.

- Wasze prawa wygasły w momencie, kiedy zniszczyliście atomy. - Precyzja z jaką, to wtedy zrobili była stuprocentowa. - Energia, którą teraz się odżywiam, pochodzi od istot, które są kwintesencją mojego doświadczenia.

- Co robisz? – Wtrącił poirytowany Natan, bowiem wyczuł, że Windur ponownie uruchomił skaner i zaczyna go okradać z tego, czym był przez całe wieki.

- Spróbuj mi przeszkodzić – odparł Windur pewny swej siły. – Na pocieszenie powiem ci, że nie chce twojej energii. Nie chce cię pomniejszać ani zabijać. Żadnego z was. Klonuję jednak waszą wiedzę. To naprawdę nieduża cena. Wciąż zostawiam wam szansę.

- Szanse na co? – Nie mógł zrozumieć Natan – żeby się stać takim jak ty? Chcesz, żebyśmy zamienili się rolami?

I zaraz pokiwał głową, na znak, że Windur popełnia błąd. – Jeśli mnie nie zabijesz, narażasz się na moją zemstę – groził, bo odarty z własności, nie miał już nic do stracenia.

- Zemstę powiadasz – zastanawiał się chwilę i zaraz dodał. - Idzie za mną potężniejszy ode mnie – objaśnił – daje Ci szansę abyś go poznał.

- Czy to ta nowa forma energii, o której mówi Wszechświat? – Niepewnie wycedził Ozeasz.

- Tak. Ma na imię Joshua. Wkrótce go poznacie. I wtedy – tu Windur wrócił do tematu szansy – może zmienisz o mnie zdanie.

- Czy, ... czy on jest taki jak Ty? – Zapytał Rajzer – Tylko jeszcze większy?

- Raczej nie. Choć ja nazywam go synem, a on mówi do mnie Ojciec. Nie jest jednak podobny do żadnego z nas. Ani do mnie ani do was.

Tą deklaracją Windur potwierdził, to czego się obawiali, bezpowrotną zmianę czasów. Już wydarzyło się nieodwracalne i to nieodwracalne miało ich wkrótce dosięgnąć z całą konsekwencją wydarzenia. Windur zeskanowawszy Kwaków, przejął ich jestestwo i uznał za swoje. Odchodził powoli z Proxima Centauri w sobie znanym kierunku.

- Żyjemy – odetchnął z ulgą Rajzer, kiedy Windur zniknął z pola widzenia.

- Żyjemy?! – Natan był wściekły, – co ty nazywasz życiem? Zabrał nam wszystko, co mieliśmy najcenniejszego. Uzyskał dostęp do „ciot” – wymienił rzecz, która była jego

największą tajemnicą i nadzieją na rozwój – teraz sam do nich pójdzie. My już nie istniejemy – sylabizował litera po literze. Pozycja naszego klanu, została załamana.

Nagle kątem widmowego oka, zauważył jakiś cień ukrywający się w niedalekich księżycach. Ruch był nieznaczny, ale wprawne oko Natana wychwyciło go i zarejestrowało. Cień obserwował ich ostrożnie. Być może był tu już od dłuższego czasu i widział całe zajście.

- Źle zrobił, że dał nam szansę – powtórzył Natan. Z wolna opanowywał nerwy. – Nadszedł czas.

- Czas na co? – Zdziwił się zaskoczony Ozeasz.

- Na zgodę z Kłamcami.

Rozdział XI. Ostatni Akt

Jakoż rzekł tak i się stało. Do konferencji doszło po wielokrotnej wymianie wirtualnych listów i odwiedzinach, na przemian najemników Kwaków w roli posłów oraz negocjatorów od Kłamców. Długie uzgadnianie terminu spowodowane było obopólnym brakiem zaufania. W krótkim czasie jedni i drudzy, w imię wspólnego interesu, musieli zapomnieć o wzajemnie wyrządzonych krzywdach. To zaś nie było łatwe, ponieważ niektórzy z Kłamców nosili całkiem świeże blizny po starciu z najemnikami Kwaków. Miejsce na spotkanie wyznaczono w galaktyce Vissula. W połowie drogi pomiędzy Proximą, a gniazdami Kłamców.

- Czy dobrze usłyszałem? – Zdziwił się Natan. – Czy użyłeś słowa „stworzył”?

Patrzył na Zuelbę, wytrzeszczając wirtualne oczy i nie dając wiary w jego słowa. A ten powiedział właśnie, że Windur „stworzył” Joshue.

- Tak – potwierdził. – Coś się Ci nie zgadza?

- To niemożliwe – dziwili się bracia wspólnie, okazując duży niepokój. Spoglądali po sobie zbici z tropu. – Tylko my potrafimy tworzyć nowe życie. Nikt inny.

- Wygląda na to, że coś przespaliście. – Próbował kpić Zuelba. A widząc, że Kwakowie nie mają zielonego pojęcia, jaki jest stan rzeczy, zaczął wypytywać.

- Ale o tym, że Windur ma swoją własną hodowlę, to chyba wiecie?

- Wiemy – przytaknął butnie Natan. – Osobiście nadzorowałem jej likwidację. Z resztą, tak naprawdę, to Windur – kłamał jak z nut, a gdy kłamał nawet powieka mu nie drgnęła – ukradł nam atomy życia, na jej założenie.

Kłamcy wymienili ze sobą porozumiewawcze spojrzenia.

- Źle mnie zrozumiałeś. Nie mówię o Nebularing – powiedział powoli Zuelba. – Mówię o ... - ugryzł się w język, czy warto zdradzać mu taką tajemnicę – mówię o Terraincognita, w układzie Sol na via Lactea.

Widmo Natana zagotowało się od środka, ale nie dał o sobie tego poznać. Nie musiał wszystkiego wiedzieć, co już nieraz podkreślał. Był przygotowany na takie sytuacje niespodzianki. On był od formowania i określania rezultatu.

- Wiemy, gdzie to jest? – Zapytał swoich.

- Wiemy – odparł Ozeasz – Droga Mleczna, to śmieciowa galaktyka na obrzeżach Wszechświata. Nic dobrego.

- Jak to łatwo się pomylić – westchnął Mrok, załamując widmowe ręce. – Bardzo, ale to bardzo – kontynuował – zatraciliście się w czujności. - Zuelba zaś, w tej samej chwili pomyślał, że to kolejny znak. Na zmianę władzy na Proximie.

- Może nas oświecisz? – zaproponował Natan. Przypomniało mu się, co mówił Windur, „że Joshua powstał z jego doświadczenia”. Doświadczenie to nie to samo co tworzenie.

- Może tak zrobię.

Zapadła jednak nieznośna cisza, którą Zuelba przeciągał w nieskończoność. Specjalnie, aby upokorzyć Kwaków. Rozumiał jednak, że mają wspólny interes w tym, by pokonać Windura. Postanowił wyedukować swoich nowych sojuszników. Mierziło, go jedynie, że musi robić to za nic. I postanowił to zmienić.

- Moje widmo i widmo Mroka muszą zostać zalegalizowane i podniesione do czwartego poziomu. Taki jak wasz – wypalił. – Nigdy, ale to przenigdy – kontynuował - nie może przeciw nam zostać wydany wyrok anihilacji.

Strzelał żądaniami do Kwaków jak z gwiazdowego automatu. Kątem oka obserwował ich reakcje - Poza tym – przeciągał strunę tak daleko jak mógł – część Wszechświata, po naszej stronie, ma być jak żelazna kurtyna. Niezależna. Żaden strażnik ani wasz najemnik, nie może doń wejść.

- To trochę dużo – zmartwił się Natan, choć wszyscy bracia, wiedzieli, że Windur i tak zabrał im już wszystko.

Zuelba szedł za ciosem. Piłka była po jego stronie.

- Siedemdziesiąt procent energii, zdobytej na stadzie, będzie naszą własnością.

- O jakim stadzie mowa? – konkretnie zapytał Ozeasz.

- O stadzie Windura, na Terraincognita – kumacie, co się do was mówi? – Zniecierpliwiał się Zuelba. Ostatkiem sił powstrzymał wybuch irytacji. Kwakowie

przyszli do nich z propozycją rozejmu, a tymczasem to oni musieli ich wszystkiego uczyć.

- To jest to stado, na którym on zbudował swoją wielkość i z którego on stworzył Joshue?

- To samo.

Natan analizował w myślach, co oznacza „siedemdziesiąt procent”. Nie wiedział ile to jest. Jedynym punktem odniesienia była postać Windura. Bardziej niż podział zysków, nurtowała go inna rzecz. Próbował grać na czas. Bardziej pasowałby mu podział po połowie.

- Nie rozumiem jak można stworzyć coś potężniejszego od samego siebie – zachodził w głowę, podejmując wątek Joshuy – to nielogiczne. Przecież to ograniczenie własnych możliwości i pozbawienie się pełnego dostępu do źródła energii.

- Wydaje się nam – podjął Zuelba, – że Windur nie do końca przewidział, kogo stworzy. Wydaje się nam, że odkrył formułę, dla której nie zostały opisane skutki.

- Ale ... - nie krył zdumienia Ozeasz. - Windur nie miał wiedzy. Nie znał technologii ani nie miał materiału na to, by wytworzyć życie według własnej reguły.

- To wasza teoria. My zaś wiemy, że z gliny, krzemu, węgla i popiołu stworzył robaki.

- Nie ma takich widm – natychmiast zareagował Rajzer Kwak. Powiedział to, bo nigdy nie słyszał o robakach.

- Robaki, to nie widma – poprawił Zuelba – to byty organiczne. Posiadają cielesne powłoki. Głównie składają się z wody. Częściowo z białek, cukrów i węglowodanów.

- Szału nie ma – ucieszył się Natan – mając naśladownictwo Windura, za kompletną porażkę. Nie mniej, niewiedza, w jaki sposób Windur, zbudował swoją widmową potęgę na organicznych robalach, wciąż nie dawała mu spokoju.

Wniesiono widmową „kawę” i widmowe „ciastka”. Były to nieduże, spienione ładunki energii, złupione przez Kłamów na innych bytach. Kwakowie spojrzeli na brudne widmowe filiżanki i talerzyki, niesione brudnymi łapskami, na brudnej tacy, lepiącej się od widmowej śliny Kłamców. To była energia najgorszego sortu. Grzecznie odmówili poczęstunku. Z obrzydzeniem obserwowali jak Zuelba i Mrok, konsumowali najpierw swoje porcje, a potem te przeznaczone dla nich. By podtrzymać dobre relacje, Natan strzelił widmowymi palcami. Jak na zawołanie Ozeasz wyłuskał ze swego widma pudło z widmowymi cygarami. Jak dotąd Kwakowie palili je tylko i wyłącznie we własnym gronie i to w mementach najmniejszego odprężenia. Był to wspaniałomyślny gest. Cygara były darem od widm z piątego poziomu. Znajdował się

w nich pierwiastek długowieczności. Teraz Natan dzielił się nim z Kłamcami. Liczył na wywołanie dobrego efektu. I nie zawiódł się. Obaj Kłamcy zaciągnęli się. Łapczywie i za mocno. Zaczęli kasłać. Wkrótce jednak odczuli na własnych widmach pozytywną zmianę, którą nie do końca potrafili zdefiniować. Im jednak dłużej i mocniej się zaciągali, tym bardziej zaczęli wierzyć we własną nieśmiertelność.

- Ile warte jest stado Windura? – Zapytał Natan.

- Dużo – odparł rozanielony Zuelba.

- A konkretnie?

- Naszą i waszą przyszłość.

- A jeśli je zniszczymy?

- Wtedy wróci stary świat. To znaczy nie do końca taki stary jak był kiedyś. Teraz będzie on trochę wasz i trochę nasz. Nie mniej bez nas go nie zniszczycie. Ale jeśli zrobimy to razem, wtedy nie będzie już nic warte. Odetniemy Windura od źródła energii. Sprawimy, że stanie się mały. Mniejszy. Coraz mniejszy.

- I na koniec zjemy go – zachichotał Mrok, który był już w niebiańskim nastroju.

Natan zatarł ręce na dobry interes.

- Skoro wiemy, co trzeba zrobić ...

- Hola, hola – zawołał upalony Zuelba – jest jeszcze Joshua.

- To nie to samo? Czy on nie żywi się z tego samego stada? Czy on nie upadnie, jak pokonamy Windura?

Zuelba pociągnął ogromny haust, pierwiastka nieśmiertelności. Tak, że aż zakręciło mu się w głowie. Spojrzał na Mroka. Potrząsnął widmową głową, bo zdawało mu się, że widzi go dwóch. Ale Mrok był jeden. Bardzo spokojny, opanowany i rozmarzony.

- Robale w stadzie Windura – zwrócił się do Kwaków - wytwarzają organiczno-białkową energię, która, jest dla nas praktycznie bezwartościowa.

Nie dał im czasu na zadawanie pytań, bo ci jak zwykle, zaczęliby pytać, jakim cudem widmo Windura stało się tak potężne, skoro energia jest bezwartościowa.

- Jest bezwartościowa – podjął ponownie - do czasu – aż nie zdechną.

- Te robale? – upewniał się Rajzer.

Zuelba założył jedną widmową nogę na drugą. Pyknął kółeczko dymu, z widmowych ust swych własnych, ułożonych w dziubek. Kółeczko rozszerzając średnicę przeniosło się siłą wydmuchu pod nos Natana. Ten natychmiast rozgonił je w przestrzeni.

- Chodzi o to, że jak robale zdychają, to w głąb idzie ich ciało. Ginie bezpowrotnie. Ale zostaje duch. Wytrąca się ze śmierdzącej powłoki i staje się mini widmem. I to

mini widmo – zrobił umyślną przerwę – naprawdę dobrze smakuje. Po śmierci powłoki, nie umiera świadomość bytu – kontynuował. - Tylko przechodzi w taki stan jak nasz. Nie dokładnie taki sam, ale jest to stan widma. I to widmo, posiada energię, która jest zdatna do spożycia. Tak samo dla Windura jak i dla nas.

Natan nie pytał jak Kłamcy wpadli na trop nowej hodowli. Domniemywał, że Windur, tak samo jak na Nebularing, nie dotrzymał warunków ostrożności.

Niespodziewanie pomiędzy konferencyjne stoły weszło złe widmo, o dziwnej strukturze. Posiadało zakwas Kłamców, nie mniej nie był on tak oficjalny. Zbierało poślinione filiżanki na poślinioną tacę.

- Kto to? – Zdziwił, się Rajzer Kwak. I już miał skubnąć za widmowy tyłek dziwne widmo, kiedy Zuelba zdzielił go widmową witką poprzez widmową dłoń. Zabolalo jakby dostał pokrzywę.

- To Pokusa - objasnił.

- Hmm? – Zamyślił się, darując rozmówcy przewinienie. – A do czego ona służy?

- Do tego, co właśnie próbowałeś zrobić. Dzięki niej, zabieramy Windurowi, część widm z jego stada.

- Czy Windur wie o tym?

- Oczywiście.

- I pozwala wam okradać się z energii?

- To nie jest kradzież – zaprzeczył – Wszechświat ma swoje prawa. Pierwsze i najważniejsze mówi, by zdobywać energię. I my nim się kierujemy.

Na odchodne klepnął w tyłek Pokusę. Ta upuściła tacę i rozbiła wszystkie filiżanki. Natychmiast pojawili się znikąd, jak widmowe szczury, mali Kłamcy i połknęli tę energię. Tak, że nikt nie zdążył nawet zaprotestować.

- Nie wiem czy pozwala. To chyba nie najlepsze określenie. Windur dał swoim bytom całkowitą swobodę wyboru. Do tego stopnia, że te robale, które chcą, mogą zajmować, za naszym przyczynkiem oczywiście, stanowisko nawet przeciwko niemu samemu.

- Dzwne – zamyślił się Natan. Zaskoczeniom nie było końca – może chodzi o to, że pozostawiając im swobodę wyboru produkują więcej energii?

- To wie tylko on sam. Nie mniej wykorzystujemy tę anomalię i kiedy tylko możemy staramy się kształtować prymitywną jaźń robaków według naszej woli. Przeciw Windurowi. Napuszczamy jedną część robaków na inną część. Bardzo łatwo się nimi steruje. Są jak nieskomplikowane zabawki. Wystarczy je dobrze nakręcić. Takie

napuszczenie, oni sami, nazywają wojną. Przy okazji takiej wojny giną całe masy bytów organicznych. Wybijają się między sobą.

- Wojna jest super – wtrącił rozmarzony Mrok. – Pochłaniamy wtedy całe masy energii w krótkim czasie.

- Byty, w chwili śmierci powłoki – kontynuował Zuelba - przechodząc w stan widma, padają naszym łupem.

- Czyściutka, pierwotna energia, coś wspaniałego – dalej marzył Mrok – Strach, lęk, obawa, poświęcenie, śmiech, ekstaza, euforia i depresja. Mnóstwo, mnóstwo różnych ładunków o zadziwiających smakach.

- Windur wie, że to wasza sprawka i nie próbuje temu zapobiec?

- Niestety, próbuje – zasmucił się, czochrając, po widmowej łepetynie. – „wymyślił” Joshue.

- Co to znaczy?

- Joshua nie pozwala nam zabierać widm robali. Nawet tych, które giną w wojnie.

- Sam jeden? Przeciwko wszystkim wam? – Dziwił się Natan – Windur uprawia swoje poletko. Daje się wam z niego pożywić, ale w końcu tworzy Joshue i mówi: „stop”?

- Nie zrozumiesz tego – machnął ręką Zuelba.

- Spróbuj – zachęcił. - Co jest w nim niezwykłego?

Natan nie dawał za wygraną. Właśnie mieli odkryć tajemnicę z czego zbudowany jest Joshue.

- Chodzi o Miłość – wykrztusił w końcu z siebie Zuelba.

- Miłość? – Zdumienie najważniejszego z Kwaków było autentyczne – A cóż to takiego?

- To specyficzny rodzaj energii. Musieliście mieć z nią styczność. Tylko nie zwróciliście na to uwagi lub uznaliście, że to nieistotne.

- Coś jest na rzeczy! – Podchwycił Ozeasz. – W naszej pierwszej hodowli, pierwotne widma w procesie produkcji energii, wykazywały odchylenia od normy. Kiedy wchodziły w ten stan, były bardzo wysokoenergetycznie notowane. Niestety – przywodził na dowód – to był bardzo krótki stan. Potem wpadały w stagnację, otepienie, rutynę, depresję. Niektóre potrafiły całkowicie zaprzestać tworzyć energię. Między innymi przez ten fakt, zamknęliśmy eksperyment.

- Eksperyment zamknęliśmy, ponieważ koszty jego utrzymania były zbyt duże w stosunku do możliwości magazynowania tamtej energii –poprawił brata Natan. – Nie z powodu jakiejś wymyślonej miłosnej anomalii.

- Kamień odrzucony przez budujących stał się kamieniem węgielnym – westchnął Zuelba. – Dla wyjaśnienia dodał – Jesteście w błędzie. To nie jest ten rodzaj energii, o jakim mówicie. Joshua, zbudowany jest z zaprzeczenia samego siebie.

- Na Genesis! – Wykrzyknął Ozeasz Kwak – nigdy tego nie zrozumie! O co w tym chodzi?

Zuelba podrapał się nerwowo za uchem. Odrzucił widmową grzywę na drugi koniec widmowego czoła. Zastanawiał się jak wytłumaczyć coś, co jest niewytłumaczalne.

- Aby Joshua, mógł stać się poprzez miłość, wiecznym magazynem energii, Windur wydał go na śmierć.

- Zabił go?!

- W zasadzie to my go zabiliśmy.

Natan wybałuszył, wielkie widmowe oczy. „Wkręcają mnie” – pomyślał.

- Czego nie rozumiem? – Pytał sam siebie. Na głos.

- Wiedzieliśmy, że Windur coś kombinuje. Że chce uniemożliwić nam zabieranie energii z jego stada. Tak, więc gdy nadarzyła się okazja, poprzez Pokusę, zmieniliśmy wielu robakom jaźń. Wmówiliśmy im, że Windur jest zły. I tak pokierowaliśmy wydarzeniami, że Joshua, jako cielesna powłoka przestał istnieć.

- A zatem zniszczyliście jego projekt, ale On żyje dalej, jako widmo? – Domyślił się Natan.

- Tak, ale to nie jest zwykłe widmo – Zuelba był wyraźnie niepokieszony. – Joshua potrafi zjednoczyć wszystkie widma zmarłych bytów ze stada Windura, w jedną ogromną masę. W jedność bez skazy. I to w zasadzie za pstryknięciem palca. Tę zdolność nabył poprzez „odkupienie” zmarłych robali. Ale kiedy chce, potrafi występować, jako pojedynczy byt.

- Odkupienie, odkupienie ... –mrucał pod nosem Ozeasz. Przeszukiwał w otchłani swego widma, pasujących relacji, ale jedyną znaną mu formą handlu był haracz. – Czy to ma jakiś związek z anomalią miłości? – Zapytał w końcu?

- Mówi się, że umarł z miłości do wszystkich innych bytów stworzonych przez Windura. Aby uczynić je doskonałymi. To znaczy, aby i one mogły być trwałymi magazynami energii.

- Nie! Nie! Nie! – Wrzasnął zdezorientowany Natan. Wyrwał szkatułę z cygarami z rąk Ozeasza i z hukiem zatrzasnął wieko. Wzbierała w nim odwieczna nienawiść do Kłamców. Miał dość ich fantazji.

- To w końcu umarł, czy nie umarł? Kto go zabił? Wy czy Windur? A może sam się załatwił?

- Zabiliśmy go. Umarł. A potem powstał z martwych – wyrecytował bez słowa emocji Mrok.

- Coraz gorzej wygląda ta sprawa – powiedział z rezygnacją Ozeasz. Nie dowierzał, że jak coś raz zostało zniszczone, to się potem samo odbudowało. Ale być może Kłamcy nie potrafili niszczyć, tak jak oni.

- Wiemy – potwierdzili Kłamcy – teraz wszyscy mamy problem.

Zuelba miał pewnego rodzaju rozwiązanie.

– Cała nadzieja w tym, że Joshua, was nie zna – tu zwrócił się do wszystkich Kwaków. – Jeśli połączymy siły i wspólnie uderzymy na stado zniszczymy je.

- To się nie uda – zaprzeczył Natan logicznie oceniając pomysł – skoro Windur posiada wiedzę tworzenia, to odbuduje zniszczone stado w innym miejscu.

- Likwidacja stada to nasz jedyny ratunek – kontratakował Zuelba - Dzięki temu zdobędziemy energię, potrzebną nam do wzrostu i staniemy się równi Windurowi. Kiedy będziemy mu równi, wtedy sobie z nim poradzimy.

- A Joshua? – Natan wciąż miał wątpliwości.

- No cóż. Z nim będzie gorzej. Nie mniej, wyrzynając stado, pozbawimy go dostaw energii. Większy nie będzie, niż jest teraz. A z czasem, może zacznie wytracać energię. I tak samo jak Windura uda się go dopaść? – Zuelba snuł plany. – Ostatecznie, my zrezygnujemy z nienawiści, a wy nauczycie się kochać.

Mrok ryknął śmiechem. Kwakowie ledwie co unieśli kąciki ust.

- Jakby nie było wyjdzie na nasze – zakończył.

Natan milczał. Rozważał możliwe opcje. Kłamca nie czekając, wyciągnął ku niemu widmową dłoń.

- To jak będzie?

Natan wahał się przez chwilę, ale nie miał lepszego planu. Ten mógł się udać.

- Zgoda – powiedział, bez konsultacji z braćmi. - Warunek jest jeden. Widmo Windura, a co za tym idzie jego wiedza i doświadczenie, muszą stać się naszą własnością. – Miał nadzieję na „odskanowanie” swojej własności.

Zuelba wzruszył ramionami. W sumie pasowało mu to, że to oni go załatwią.

Natan, ścisnął swoją dłońią, dłoń Kłamcy. Ten zaś poczuł, że z głupoty włożył swoją dłoń w imadło. Kwak wiedział jednak, co robi. Przypominał mu w ten sposób, kto rozdaje karty i żeby nie próbował go oszukać, bo może to go drogo kosztować.

- Jeśli pozwolisz – zaczął łagodnie, ukradkiem rozmasowując widmowe palce – uderzymy na mój znak. Chodzi o to, że mamy już tam swoje oddziały. Znamy środowisko, podejścia. Zaskoczmy ich.

- Pozwolę – odpowiedział Natan patrząc, głęboko w widmowe oczy Zuelby. Szukał w nich kłamstwa, ale znalazł tylko pożądanie cudzej rzeczy.

-&*&-

W ten oto sposób podzielono skórę na niedźwiedziu. Wypalono widmową pieczęć rozejmu. Historyczna konferencja zakończyła się pełnym sukcesem. Po wielu milionach kwarteli waśni i niezgody, Kwakowie do spółki z Kłamcami mieli przypilnować, aby porządek we Wszechświecie, był ich porządkiem. Kiedy obie grupy sojuszników, były już tak daleko od siebie, że ledwo było ich nawzajem widać, a na pewno, nie było ich nawzajem słyszeć. Natan Kwak odwrócił się do Rajzera i to mu powiedział:

- Natychmiast po powrocie na Proximę, weźmiesz naszych najemników i ruszysz na Terraincognita.

Rajzer domyślił się celu wyprawy. Powód znał.

- Ilu mam wziąć?

- Wszystkich. Wszystkich, co do jednego – stanowczo nakazał brat. – Weź dodatkowe ładunki energii. Zgarnij po drodze największych zakapiorów, morderców i zabijaków.

I proszę cię – tu, najserdeczniejszym braterskim tonem – powiedział: - Załatw to jak trzeba. Żeby kamień na kamieniu nie pozostał!

Tymczasem Kłamcy, obserwując oddalających się nowych sojuszników, również mieli swoje przemyślenia.

- Uwierzyli? – Zapytał z obawą w głosie Mrok.

- Chyba tak – podrapał się po nosie Zuelba, wciąż spoglądając na oddalających się Kwaków.

- Czeka ich niezła niespodzianka, kiedy zetną się z ochroną stada – zachichotał. Zuelba przytaknął milcząco i dodał:

- Michał Archanioł, ze swoimi zastępami Cherubinów, Serafinów i Aniołów. Tanio skóry nie sprzeda.

- O ile Kwakowie podejmą decyzję, żeby nas oszukać – przypomniał warunek Mrok.

- Myślę, że oni już ją podjęli – uśmiechnął się w widmowych myślach szef Kłamców.

Zuelba naprawdę był sprytnym graczem i wytrawnym negocjatorem. Niecałe sześćset sześćdziesiąt sześć kwarteli potem, wpadł do jego gniazda zdyszany Mrok. Zbudził go po poobiedniej drzemce. Gębę miał uśmiechniętą od ucha do ucha.

- Co jest? – Zapytał, cucąc zaspany umysł.

- Zaczęło się! – Mrok z radości przyklasnął w dłonie. Zuelba natychmiast oprzytomniał. Zerwał się z posłania. Rozsunął zasłonę przybytku i poprawiając zbójcecki pas, wypadł przed cuchnące gniazdo. Omiótł wzrokiem horyzont, jakby sprawdzał, czy pomieści wojsko.

- Zbieraj armie!

- Wici już poszły!

- Do wieczora. Za cztery kwartele – spojrzał na widmowy zegarek - Mają tu być wszyscy z naszych. Nawet kulawi, ślepi i głusi. Do trzynastego pokolenia wstecz. Ze wszystkich odłamów, wymiarów i złodziejskich klanów. Rozumiesz Mrok? Nadeszła nasza chwila!

Gorączkował się, powoli nabierając rumieńców. W sytuacjach, kiedy rysowała się przed nim niepowtarzalna szansa, przejścia do historii lub dokonania czegoś niezwykłego, wpadał w trans niezwykłego wodza. Nie pamiętał o żadnej przegranej bitwie. Oczami wyobraźni, widział zaś tę, którą za chwilę wygra. Każda minuta napędzała go coraz bardziej. Z każdą bowiem, horyzont przed jego gniazdem, robił się coraz ciemniejszy. Zewsząd przybywali Kłamcy. Wciąż nowe i nowe zastępy. Mrok uwijał się pośród nich jak pies, regulując ruch, formując hufce i na zapas nadając oficerskie stopnie. Nim minęły cztery kwartele, horyzont był już czarny jak smoła. Podniecony Zuelba uniósł dłoń i wskazał kierunek, w którym milionowe armie Kłamców miały ruszyć, by wykonać dziejową misję. I ruszyli. Bynajmniej nie na Terraincognita, by pomóc Kwakom. Ruszyli na Proxima Centauri, by przejąć na niej władzę. Od samego początku, taki mieli plan i teraz go realizowali. Sojusz z klanem, spadł im w ręce, jak prezent z nieba. Musieli go wykorzystać. A że byli przesądni, sądzili, że to kolejny znak, kolejny klocek w układance, który przybliży ich do realizacji wymarzonego celu. Z chrzęstem widmowych pancerzy, ruszyły czarne armie, jedna za drugą. A końca ich nie było widać. Większość była głodna i szła na Kwaków, bo wierzyli, że czeka tam na nich nieprzebrany raj ładunków energii.

Jedynie dwóch z nich, nie myślało o napełnieniu brzucha. Był to Zuelba i jego brat Mrok. Oni szli po tron władzy.

To, co ujrzeli w galaktyce Genesis i na samej Proximie, wprowadziło ich w ogromne zdumienie. Pomiędzy gwiazdami i planetami dwaj osamotnieni Kwakowie. Natan i Ozeasz walczyli z intruzem, o masie znacznie przekraczającym ich własne. Co rusz detonowane były ładunki anihilacyjne i widmowe miecze ze świtem cięły powietrze, zgarniając trzecią część galaktycznych gwiazd. Planety zmieniały orbity, księżycy fruwały jak bańki mydlane, rozbijając się o większe gwiazdy. Chwilami nie bardzo było wiadomo, kto jest kim, z powodu zmieszania widm i galaktycznego kurzu. Kiedy wydawało się, że Kwakowie zniszczyli przeciwnika, ten po chwili odradzał się na nowo. Wtedy przystępowali do ataku z jeszcze większą zajadłością i wściekłością niż wcześniej. Przeciągłe wycie atakujących, trzask rozpadających się planet potęgował obraz bitwy.

Zuelba podniesieniem widmowej dłoni, powstrzymał swoje wojska u progu Genesis. Nie przewidzieli takiej sytuacji. Szli tu z przekonaniem, że idą po swoje.

- Co robimy? – Szepnął Mrok, gotów do skoku. Największy z Kłamców przytrzymał jednak swego kamrata za widmowe ramię.

- Poczekajmy – wiedziony instynktem osadził go w miejscu. Obserwował. Znowu wydawało się, że Kwakowie odnieśli sukces ścierając wroga w pył. Było to jednak złudzenie. Intruzem z całą pewnością nie był Windur. Za dobrze go znali. Ponadto wiedzieli, że ten broni w tym czasie swojej hodowli przez Rajzerem Kwakiem i najemnikami.

– To Joshua – powiedział do Mroka, rozpoznawszy postać. Teraz obydwaj wpatrywali się w napięciu w to, co dzieje się w galaktyce Genesis. Kwakowie walczyli z Joshuą. Robili wszystko, co w ich mocy, by go pokonać, ale ich wysiłki szły na marne. Co ciekawe, Joshua jako postać widmowa, nie wyprowadzał ciosów. Pozwalał Kwakom przypuszczać na siebie szturm, ale nie pozwalał się zabić. Jeśli tylko udało im się rozproszyć, rozbić jego widmo na najdrobniejsze kawałeczki, po chwili, opodal pojawiał się jasny punkt w kosmosie, wokół którego jak na komendę gromadziły się inne świetle punkty odbudowując całą strukturę. Bez najmniejszego uszczerbku. Kłamcy domyślili się, że te miliony fraktali, rozganiane mieczami Kwaków, to widma umarłych robaków z Terraincognita, za które umarł Joshua i które on odkupił do uczestniczenia w stosie wiecznej energii. To, że Joshua jest niezniszczalny, tam na Genesis, było widać coraz bardziej. Kwakowie tracili pomysły. Pierwszy za wygraną

dał Ozeasz. Za nim Natan. Nie mieli już sił by walczyć. Opuścili zmęczone bojem widmowe ręce, odrzucili na bok poszczerbione i połamane miecze. Zrezygnowany Natan, oczekiwał ostatecznego zniszczenia jego klanu, ale Joshua w formie krystalicznie czystego widma, spokojnie im się przyglądał. Dziwna łagodność, emanowała z jego widma wobec pokonanych. Bracia w milczeniu lizali rany własnej bezsilności. Nie rozumieli, dlaczego Joshua nie zabiera im ich energii i nie niszczy ich.

Stojące w ciemnościach, zniecierpliwione oczekiwaniem armie złych, podnosiły coraz większy rwetes. Widział to Mrok i zaczynał się obawiać, że za chwilę nie utrzyma ich w ryzach. Zuelba jednak znieruchomiał, zdając nie zdawać sprawy z zagrożenia.

- Nie jest dobrze – szepnął – wygląda na to, że on umarł również za nich, tylko oni jeszcze tego nie wiedzą.

- Musimy coś zdecydować – Mrok przebiegał nogami. Wiedział, że za chwilę straci zupełnie kontrolę na wojskiem – nasi bracia się denerwują.

Zuelba, spojrział, na niego z wyrzutem. Tak jakby ten niczego nie rozumiał.

- My chcieliśmy przechytrzyć Kwaków. Oni nas. A tymczasem wszystkich oszukał Windur. Rozumiesz? – Ale Mrok nie rozumiał.

- Przecież Windur, ma teraz na karku Rajzera i jego najemników. Jak mógł nas oszukać?

- Wiesz, dlaczego dał wolną wolę swoim robakom? - Cedził z wolna oświecony myślą.

- Nie dla kaprysu ani z błędu ani z anomalii jak myśleliśmy. Dał im wolną wolę, abyśmy my uwierzyli, że możemy mu je odebrać, odwrócić od niego. Przerobić na naszą modłę. I my to zrobiliśmy.

Przeraźliwie zazgrzytał, sypiąc iskry nienawiści na własną głupotę.

- Dzięki nam Joshua zyskał nieśmiertelność. Gdybyśmy nie zaprowadzili go na krzyż, nigdy by nie powstał.

Gorycz oszustwa paliła jego brzuch ognistą porażką. Windur przewidział ich zachowanie i przejrzał myśli. Ukartował wszystko. Zuelba czuł się jak pionek w grze, któremu wydawało się, że może decydować o jej wyniku. A tymczasem kostką rzucał kto inny. Niespokojnie rozejrzał się wokół. Wolałby nie mieć w tej chwili do czynienia z energetycznym widmem Joshuy. Za nim stały zastępy jego wojska. Po horyzont Wszechświata, czerń czarniejsza była od czerni.

- To koniec – szepnął zrezygnowany sam do siebie.

Chciał dać znak do odwrotu, kiedy nagle, tuż za swoimi plecami kątem widmowych oczu Kłamcy dostrzegli rozbłysk. Gwałtownie wykonali zwrot w tył, o

mało nie kalecząc się swoimi widmowymi ogonami. Pomędzy nimi, a ich wojskiem stał ... Galilejczyk. To znaczy Joshua, ale w postaci organicznej, czyli takiej, jaką miał na Terraincognita, zanim Go ukrzyżowano.

- Obawiam się panowie – tu elegancko odchrząknął mrugając okiem, – że to dopiero początek.

END